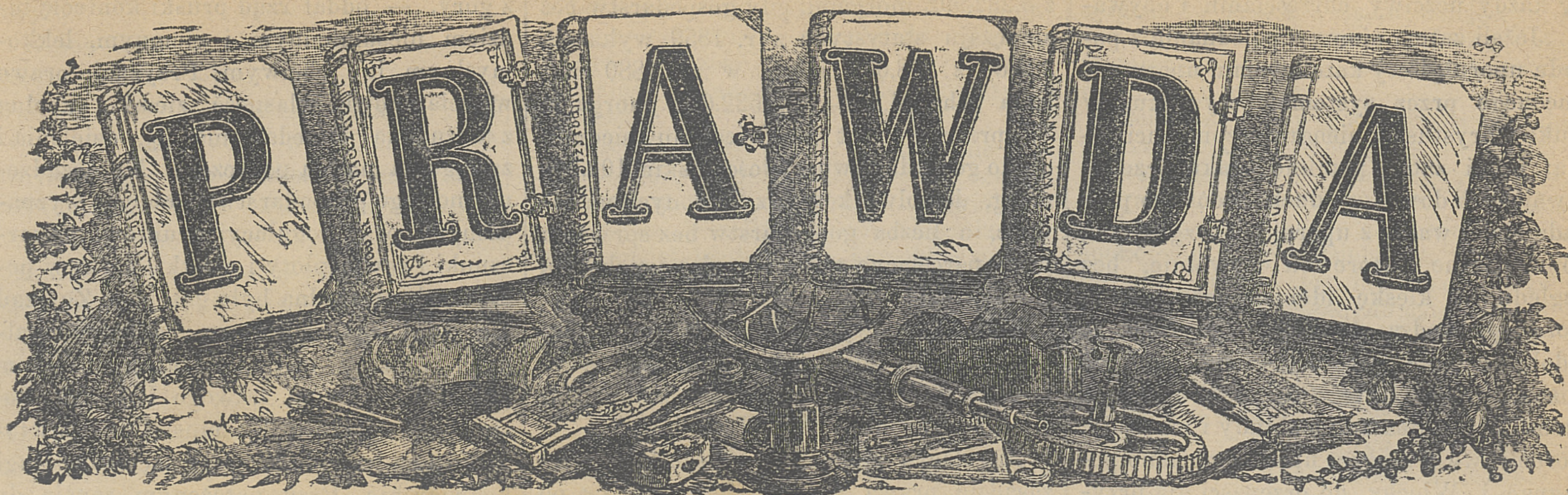
№ 39. Warszawa, dnia 24 (12) Września 1881 r. Rok I



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Z powodu formalności niektórych bezpłatny dodatek p. t. **Główne prądy literatury europejskiej XIX w.** I. Brandesa (zeszyt 1-szy) dołączymy nie do obecnego, ale do przyszłego numeru **Prawdy**, a szan. abonenci wybaczyć nam zechcą to drobne opóźnienie. Zarazem przypominamy termin odnowienia kwartalnej przedpłaty, zapobiegając niemożności zadośćuczynienia zbyt spóźnionym żądaniom. Jak zawsze tak i dziś nie popisujemy się z naszą redakcyjną teką, pozwalamy sobie tylko zapowiedzieć kilka prac ciekawych i ważnych. Dzięki rozwiniętym stosunkom pisma, może ono zużytkowywać najlepsze siły, jakie kierunek naukowo-postępowy u nas posiada.

NOWY ROZBRAT Z WATYKANEM.

Ultramontanizm był zabójcą chrześcianizmu. Zdanie to, w różnych odmianach często powtarzane, wyraża właściwie tę niewątpliwą prawdę, że każda teorya każdy system, każde wyznanie nie ginie w walce z przeciwnemi, ale w własnem wynaturzeniu się. Nie ulega wątpliwości, że gdyby Chrystus zjawił się między nami, nie poznałby wielu doktryn, które się na niego powołują i wyparłby się tych samych apostołów, którzy za jedynych, najwierniejszych jego uczniów się głoszą. Ponieważ jego nauka zawiera reguły moralne, będące owocem doświadczenia ludzkości i ciągle wykazujące swą wartość, nowoczesna zatem cywilizacya nie z niemi podjęła i prowadzi walkę, ale z chwastem, który na ich gruncie wyrósł. Mistrz nazarejski z pewnością nie pisałby encyklik, gromiących postęp i pozostałby w daleko większej zgodzie z nim, niż Piusy i Leony, bo mniej wyklinał, a więcej kochał i uczył. Nic też dziwnego, że umysły, przejęte jego duchem ciągle się buntują i wypowiadają posłuszeństwo ciemnej i okrutnej instytucyi, która nad ludzkością roztacza swe cienie, że papizm zabija chrześciaństwo, że w łonie katolicyzmu pojawiają się coraz częstsze odstępstwa. Ledwie przebrzmiało echo protestu ks. Curciego, znowu odezwał się głos inny — głos kanonika kapituły Ś-go Piotra, hr. Henryka Campella. Ten dostojnik kościelny, jak sam wyznaje w swym liście publicznym, dziesięć lat usiłował pokonać sumienie, powołujące go do rozbratu z kultem, który uparcie i nieludzko zadaje gwałt najgłębszym przekonaniom i najdroższym uczuciom człowieka. I co mianowicie pobudziło kanonika Campellę do odstępstwa? Obrażona duma lub krzywda osobista? „Wasza Eminencya — pisze do kard. Boromeo — nie przypiszesz mojego postanowienia tajnym pobudkom, niezaspokojonej ambicyi, zemście za doznaną niesprawiedliwość. Nie skarżę się na dotychczasowych mych kolegów w kapitule, dla których, bez wyjątku, zachowam przyjazne wspomnienie. Godność kanonika pierwszego kościoła w świecie ceniłem tak wysoko, że żadna ambicya nie mogła mi nasunąć żądzy nowych zaszczytów. Po dziesięcioletniej, dojrzałej rozwadze, po niezkończonych walkach i rozczarowaniach, mogę dziś przysiądz przed Bogiem i Chrystusem, którzy nas sądzić będą, że poważny ten krok czynię bez wszelkiej myśli ubocznej dla uspokojenia mojego sumienia, co poświadczyć mogą znakomitsi duchowni, z którymi prowadziłem długie, poufne rozmowy. Wiem dobrze, że opłacane przez Watykan i gospodarującą w nim kamarylę dzienniki najokrutniej prześladować mię będą; ale wiem także, że postępowanie podobne oddawna zyskało powszechną pogardę. Odpowiem przeto jedynie milczeniem i modlitwą, ażeby Bóg użyczył mi wielu naśladowców śród tych, którzy podobnie jak ja, oszukani za młodu, później terroryzowani przez systemat niegodny, wloką w życiu z trudem kajdany własnej niewoli, którzy nie mogą uprzystępnić sobie światła nauki i znieść ciągłych rozczarowań, bolesnego przygnębienia, najgorszego ucisku. Co do mnie, tylko spokój grobu uwolni mnie od walki zewnętrznej i wewnętrznej. Błoga nieśmiertelność wynagrodzi mi niewypowiedziane troski, jakiemi mnie życie obdarzyło.“

I jakież to są „kajdany,“ o których wspomina, a których znieść nie mógł kanonik Campello? Zdławione prawa człowieka i patryoty. „Gdy papieżem został Pecci, spodziewano się lepszej przyszłości dla kościoła i ojczyzny. Nadzieja została zawiedziona. Dzisiaj czynię zadość jako chrześcianin i obywatel nieprzepartemu obowiązkowi mojemu. Sumienie zabrania mi należeć dłużej do instytucyi, która swych kapłanów oddziela od społeczeństwa cywilnego, jak kastę indyjską. Rzucona niedawno na książkę Curci'ego klątwa, która zarazem zniweczyła wszelkie nadzieje, pokładane w nowym papieżu, dowiodła, że wśród kościoła nienawiść stronnicza usunąć się nie daje, pomimo że dzieje uczą, iż podobne potępienia silniej godzą w sędziów anizeli w skazanych, dla których bywają raczej zaszczytem. Podobne rzeczy wszelako dowodzą, że kościół został najgorszym z pomiędzy tyranów; niezadowolniony prostem milczeniem, usiłuje stłumić głosy prześladowanych. Najnowsze klątwy dowodzą nazbyt widocznie, że kilkowiekowa walka nigdy nie ustanie; że niemożebne

jest jakiekolwiek pojednanie, o którem marzy każdy uczciwy chrześcianin i obywatel. Jeżeli zatem niemasz pojednania z powodu uporu głowy katolicyzmu, uporu narzuconego przez systemat, wyzyskujący naukę Chrystusa z nieograniczoną chciwością; jeżeli zatem pomimo braku przekonywających dowodów, duchowieństwo prowadzi dalej walkę z uporu, bez względu na zło społeczne, które on wywołuje, bez względu na klęskę idei chrześciańskiej, którą sprowadza, to należy przyznać, że podobną ślepotę tylko w judaizmie spotkać można. Dowodzi tego ostatnia alokucya Leona XIII, mieszanina obłudy i przesady, którémi we własnym upadku chciano pociągnąć i Włochy do przepaści dla przywrócenia w ten sposób utraconej a z utęsknieniem oczekiwanej i pożądanej władzy świeckiej. Poznanie tego stanu rzeczy usunęło na bok dotychczasowe moje przesądy. Opuszczam przeto szeregi kleru rzymskiego, by z dniem dzisiejszym rozpocząć walkę w imię czystej, niesfałszowanej ewangelii Chrystusowej, wierny mym ślubom, dla uspokojenia mojego sumienia i dla tego, ażebym z podniesionem czołem, bez obłudy i bez maski zdrajcy ojczyzny przyznać się mógł, żem chrześcianin i obywatel włoski.“

Takie wyznanie złożył kanonik Campello, który w szeregu protestantów katolicyzmu z pewnością nie jest ostatnim. Rozbrat z Watykanem porwie swym prądem inne umysły, dopóki między cywilizacyą a papiestwem nie nastąpi tamująca te odstępstwa zgoda, w którą my... nie wierzymy. Jedna z tych potęg musi ustąpić, chyba że ludzkość jest na progu nowych wieków średnich.

RUINA DROBNEJ WŁASNOŚCI.

I.

Drobnej własności w w. księstwie poznańskiem niechybna przy obecnych stosunkach grozi ruina. Gdy w roku 1823 znajdowało się w księstwie gospodarstw sprzężajnych 48,068 z 3,441,810 morgami ziemi, w r. 1880 było ich tylko 39,389 z 3,292,992 morgami; gdy gospodarstw bez sprzężaju statystyka z r. 1859 wykazała 33,960 z 298,000 mórg, w r. 1880 znalazła ich 44,470 na 522,642 morgach. W przeciągu lat pięćdziesięciu siedmiu ubyło gospodarstwom włościańskim 100,000 mórg, do folwarków przyłączonych na zawsze, a liczba gospodarstw bez sprzężaju przez parcelacyę sprzężajnych powiększyła się znacznie.

Zjawisko powyższe ze sposobem, w jaki rząd pruski zaprowadził w księstwie reformę włościańską, w związku zostaje ścisłym i przewidzianem było oddawna.

Regulacya stosunków włościańskich, na zasadzie prawa z d. 8 kwietnia 1823 r. po dwudziestu dwóch latach pracy tak zwanych *komisyi generalnych* ukończona w r. 1845, w początkach rezultaty tak materyalne, jak i moralne zapowiadała świetne. Skutkiem zniesienia pańszczyzny włościanin pracę swoją natężył, podwoił starania około uprawy roli i utrzymania w porządku budynków; uwolniony z pod opieki dziedzica, nabierał poczucia osobistej godności, kształcił w sobie przezorność i pewność istnienia o własnych siłach. Rządowi pruskiemu chodziło o wytworzenie klasy włościan właścicieli i rzeczywiście takową dźwignął; lecz czy dźwigniętej przyszłość zapewnił trwałą? czy jej istnieniem zagwarantował dobrobyt ogólny?

Wyszedłszy ze stosunków pańszczyźnianych nieudolnym i ciemnym, włościanin, pozostawiony własnym swym siłom, rady sobie dać nie mógł. Żeby z usamowolnienia rzetelną osiągnąć mógł korzyść, wypadało dawną zwierzchność dziedzica czasowo zastąpić inną, — trzeba było podnieść śród ludu poziom oświaty i nad działalnością jego w epoce przejściowej odpowiednią zaprowadzić kontrolę. Jakoż rząd pruski nad oświatą ludu pracował dużo; nie zdołał jednak uczynić wszystkiego, chybił nawet w zasadzie, gdy zamiast wiedzy praktycznej propagował śród włościan naukowe teorye. Pomyślał rząd pruski i nad kontrolą; skoro jednak takową powierzył wójtom gmin rządowych, celu znów chybił. Zamiast pozostawić władzy centralnej wskazanie ogólnego kierunku, a wykonanie szczegółów powierzyć instytucyom miejscowym, biorącym początek z dołu nie z góry, — oddał rząd pruski kontrolę ludziom niesumiennym i ciemnym, lekkomyślnym lub chciwym. Przyznało prawo włościaninowi własność ziemi zupełną z możnością sprzedawania jej, dzielenia i zaciągania na nią pożyczek. Na urządzenie nowego gospodarstwa i objęcie wyznaczonych przy regulacyi gruntów, na karczunki i rowy, płoty i mostki, zaraz w początkach niezbędną była gotówka. Że rząd nie zajął się organizacyą banków lokalnych, któreby na wzór szkockich małym przedsiębiorstwom łatwego i taniego dostarczały kredytu, — musiał przeto włościanin na wstępie karyery zaciągać długi lichwiarskie. Przy natężonym zapale do pracy, podniecanym przez urok własności, potrafił nieraz ciężar ten zepchnąć i potomstwu gospodarstwo zostawiał kwitnące; skoro jednak kilkoro miał dzieci, dzielił się spadek na części, w drugim pokoleniu na mikroskopijne cząsteczki, z których właściciele wyżyć nie mogli. Chociażby i jedno z dzieci gospodarstwo objęło po ojcu, — na spłatę reszty rodzeństwa zaciążył na właścicielu dług znaczny, wyrównywający połowie, a czasem $^2/_3$ lub $^3/_4$ całego mienia. Za lada klęską wyniknąć musiała trudność opłaty procentu, gdy zaś i rodzeństwo zażądało sum swoich, zabrnął gospodarz w procesy i spory, zaniedbał budynki, ziemię wyczerpał, sprzedał dobytek, aż w końcu wyszedł z osady z torbą i kijem. Ze sprzedaży gospodarstwa na drodze sądowej dla kosztów wielkich rodzeństwo należności swojej otrzymało zaledwo część małą, — powstawała w ten sposób cała rodzina żebraków. A cóż się stanie — pytał świadomy tych rzeczy Adam Krzyżtopór — z ziemią? „Nie kupi jej — odpowiada — włościanin, bo któryż będzie miał dostateczny kapitał? ale kupi dziedzic sąsiedni i do folwarku dołączy: jemu łatwiej, bo wyższy wykształceniem, spekulujący na większym warsztacie, snadniej uzbiera fundusze; jemu łatwiej, bo dla niego jest kredyt o niskim procencie, a włościanin krom lichwy nie zna kredytu. Tym sposobem z obecnem prawem pruskiem po kilku pokoleniach *zniknie zupełnie klasa zamożnych włościan*, a kraj cały podzielony będzie na wielkie folwarki

---

JESIENNE LISTKI.

W świecie politycznym więcej zdarza się samobójstw niż śmierci naturalnych.

* * *

Polityka jest krajem górzystym, w którym najdłuższe drogi najpewniej prowadzą do stromych szczytów.

* * *

Goniąc za sławą, patrzymy tylko w jej blaski; osiągnąwszy ją, widzimy tylko jej koszta.

* * *

Umysł ludzki, jak glob ziemski: mieści w sobie wiele klejnotów, których nigdy nikt nie odkrył, a nawet nie szukał.

* * *

Czas zaciera dawne karty i pisze na nich nowiny; wszystkie też jego dzieła są palimpsestami.

* * *

Dziennik jest tem w stosunku do książki, czem pociąg pospieszny w stosunku do dawnej karetki.

* * *

Nowa książka tak mnoży myślących, jak nowa kolej podróżujących.

* * *

Miłość jest dla poetów tem, czem ślepota dla słowików.

* * *

Kobiety jak obrazy: więcej znajdują wielbicieli niż znawców.

* * *

Filozofia jest kluczem, łamiącym się lub skręcającym w zamku, który ciągle usiłujemy otworzyć.

* * *

Starzec podpiera się tym samym kijem, na którym jeździł jako dziecko — nadzieją.

* * *

Formy sprawiedliwości dają taką samą rękojmię, że ona jest prawdziwą, jak kartki na butelkach z winem, że ono nie jest fałszowane.

* * *

W oczach złego cnoty są tylko maskami, a w oczach nieszczęśliwego słońce — plamą na niebie.

* * *

W chwili upadku narodów miernoty robią wielką wrzawę, podobnie jak przy schyłku dnia karły rzucają duże cienie.

* * *

i zaludniony ubogą wyrobniczą ludnością.“

Ruinę drobnej własności w księstwie poznańskiem głębiej patrzący przewidywali już wtenczas, gdy następstw pruskiej regulacyi stosunków włościańskich nie stwierdzały jeszcze fakta i cyfry. Dzisiaj sześćdziesięcioletnie doświadczenie przewidywania, powzięte z góry, wzmacnia wskazaniem stosunku, w jakim drobna posiadłość niknie w folwarcznej i tem wymowniej tłómaczy potrzebę przedsięwzięcia środków zaradczych. Zastosowaćby można te same, na jakie przezorność wskazywała przed laty. Opowiednia organizacya gmin wiejskich, mających zastąpić dawną kontrolę dziedzica; zakładanie szkół elementarnych z programem, zastosowanym do potrzeb ludu; modyfikacya prawa o spadkobraniu lub ograniczenie rozporządzania osadą, — są to środki jedyne, mogące drobną posiadłość od zupełnego rozdrobnienia i pochłonięcia przez folwarki osłonić. Jeżeli ani pod względem szkolnictwa, ani pod względem rozkwitu instytucyi kredytowych nie możemy księstwu poznańskiemu za wzór stawiać stosunków królestwa, — to z drugiej strony nasz samorząd gminny i niedopuszczenie do kupna osad włościańskich cudzoziemców, szlachty i żydów, jako środki czasowe, sprzyjające utrwaleniu drobnej własności, zalecić wolno.

Sm.

SEKULARYZACYA DOBROCZYNNOŚCI.

Obserwując cały obszar stosunków społecznych, cały szereg najrozmaitszych usług, jakie sobie wzajemnie ludzie bądź pojedyńczo, bądź w pewne złączeni koła oddają, zauważyć możemy pewien charakterystyczny fakt, pewne niezmienne prawo ich rozwoju. Widzimy mianowicie, że pierwotnie każda usługa świadczoną była *darmo*, a pobudkę wewnętrzną, która do niej skłaniała świadczącego, stanowiło *współczucie*, jakie odczuwał dla potrzebującego jej. Powoli dawny ten charakter świadczeń i usług stopniowej ulega zmianie; pierwiastek darmości ustępuje coraz bardziej miejsca wzajemnej wymianie usług, pobudką zaś działania obu stron staje się coraz bardziej ich *osobisty interes*. Na tem przejściu od darowizny do wymiany, od współczucia i łaski do egoizmu, polega racyonalny postęp każdej sfery działalności ludzkiej, każdej instytucyi społecznej.

Powiadam racyonalny postęp, nie trudno bowiem się przekonać, że tylko interes osobisty stanowi normalny, prawidłowy pierwiastek wszelkiej dobrze uorganizowanej ludzkiej działalności. Dopóki w pewną sferę stosunków społecznych pierwiastek ten nie wszedł, jest ona chwiejną i niepewną, a zaspokojenie potrzeb, które daną działalność wywołały, fantastycznie tylko i niemal przypadkowo dokonane być może. Na współczucie innych, na ich łaskę liczyć, jest rzeczą ryzykowną i problematyczną, bo łaska ludzka jest zmienna i zależna od tysiącznych okoliczności, przewidzieć się nie dających. Interes osobisty na odwrót jest u wszystkich jeden i ten sam; mając coś do oddania za przysługę jakiej od innych potrzebuję lub potrzebować mogę, wiedząc, że są ludzie gotowi za wynagrodzeniem przyjść mi z pomocą, śmiało idę naprzód, bo jestem pewny, że wyrachowanie mnie nie zawiedzie, że zawsze w razie potrzeby znajdę to, o co mi chodzić będzie. Z drugiej strony odwoływanie się do cudzej grzeczności, do cudzej łaski krępuje potrzebującego, podczas gdy żądając wymiany, czujemy silny i pewny grunt pod nogami.

Tę kolej naturalną, ów postęp stopniowy od darmości do wymiany przechodziły i przechodzą wszystkie gałęzie i gałązki działalności społecznej. Pierwotną gościnność, — jedyny środek utrzymania życia podróżnego — zastąpiła z czasem normalna, prawidłowo uorganizowana gościnność płatna, w zajazdach, hotelach i restauracyach. Pożyczka, która kiedyś była tylko przyjacielską usługą, przeszła z czasem w usługę wynagradzaną procentem i wytworzyła cały zastęp ludzi nią się stale trudniących a wreszcie publiczne banki i towarzystwa kredytowe, otwarte dla każdego, kto daje gwarancyę jej oddania i zapłacenia procentu.

To ogólne prawo rozwoju stosunków społecznych spotykamy w każdej ich dziedzinie, jakkolwiek tu i owdzie w zmienionej formie. Treść jest jedna i taż sama, t. j., że ludzie w swej działalności dla innych coraz bardziej przechodzą ze sfery dowolności, łaski do konieczności, do obowiązku. Postęp w tym kierunku widzimy i tam, gdzieby go się najmniej spodziewać można, w działalności wspierania ubogich. Bo i cóż ubogi dać może w zamian kęsa chleba, który mu rzuca zamożny? jaki ekwiwalent odda mu za łachman, który mu daje na okrycie? Zobaczmy jak się sprawa ta przedstawia w dziejowym rozwoju, jak działalność społeczna około wspomagania swych biednych kroczy równolegle z innemi.

Pierwotnie gdy potrzeba wywołująca pewną działalność społeczną jest udziałem niewielkiej sumy jednostek, gdy zatem nie nabrała żadnej jeszcze ogólnej doniosłości, społeczeństwo jej nie zna i nic dla jej zaspokojenia nie przedsiębierze. W tem położeniu potrzebujący może jedynie zwracać się do jednostek, do ich łaski, do ich dobrej woli. Do ich łaski, powiadam, bo choćby miał im co oddać w zamian, niemasz nikogo co byłby obowiązany oddać mu żądaną usługę, choćby drogą wymiany. I zwykle wymiana nigdy tu niema miejsca; jeżeli strona odbierająca usługę daje co w zamian świadczącej, to nigdy w formie wynagrodzenia, lecz jako *wywdzięczenie* za doznaną łaskę. W tej fazie rozwoju, pomoc ubogim tylko na czysto indywidualnem miłosierdziu wspierać się może.

Skoro dana potrzeba przyjmuje z czasem ogólniejszy charakter i szersze sobą obejmie koło, nabiera już siły, a zatem i społecznego znaczenia. Bezwiednie i instynktowo społeczeństwo bierze ją w swą opiekę, a przyjście jej z pomocą wychodzi już ze sfery czysto indywidualnej. W pojęcie moralne ogółu wchodzi konieczność pomocy potrzebującym, prawa moralne biorą je pod swe skrzydła. Osoby od których pomoc jest żądana, nie mogą już przy jej udzieleniu lub odmowie kierować się czysto osobistemi uczuciami, lecz liczyć się muszą z opinią ogółu, z tem, co tenże uznaje za dobre. W tej fazie rozwoju przyjmujący w dom podróżnego, wspierający ubogiego nie czyni tego jedynie ze swego osobistego miłosierdzia. Ulega on panującym w społeczeństwie prawom zwyczajowym i moralnym, które nań nacisk wywierają. Potrzebujący zyskali tu już pewne *prawa*, które w swej sprawie powołać mogą. Mogą się odwołać do *obowiązku* każdego przyjścia im z pomocą, mogą nawet w pewnych razach odpłacić się modłami do istot wyższych lub wołać o pomstę do nieba. Bo szczególnej silne potrzeby społeczne bierze pod skrzydła swe z czasem i religia, i przychodzenie im z pomocą osłania swym systematem kar i nagród pozagrobowych. W każdym razie i tu jeszcze pierwiastek dowolności łaski ważną odgrywa rolę; potrzebujący musi *się prosić* o pomoc, bo prawo moralne i religijne nie wywiera stanowczego, kategorycznego przymusu na jednostki, zostawiając stosowanie się do nich w znacznej części ich dobrej woli.

W działalności społecznej celem wspomagania ubogich, ta faza jej rozwoju gło-

---

Ani jednostka, ani naród nie jest skazany na naśladowanie swych przodków, lecz na postępowanie drogą przez nich rozpoczętą.

* *

Duma od niewielu upadków chroni, a wiele sprowadza.

* *

Bywają zdolni dziennikarze, którzy po za swym papierem okazują się głupimi: bywają mężni żołnierze, którzy po za polem bitwy są tchórzami.

* *

Wiek ludzki należy raczej mierzyć ilością czynów i myśli, niż liczbą przeżytych dni.

* *

Gdyby człowiek posiadał klucz wszystkich wypadków historyi a chciał zachować godność rodzaju ludzkiego, powinienby klucz ten rzucić w przepaść tak głęboką, ażeby go w niej nikt nie odnalazł.

* *

Rzeczywista wartość atramentu, jak złota, zależy od użytku, jaki z niego robimy.

* *

W braku nowych myśli, tworzymy nowe frazesy i zdaje nam się, że bogacimy naszą wiedzę.

* *

Gdy kilku członków społeczeństwa wpadnie w gorączkę, wszyscy czują dreszcze.

* *

Miłość ojczyzny nie jest przywiązaniem do obszaru jej ziemi, ani do świetności jej pomników, lecz do jej praw, obyczajów i tradycyj.

* *

Między sprzedającym i kupującym często bywa rzeczywiście jeden złodziej, ale zwykle co do chęci dwu.

* *

Jeżeli małpa nauczyła się od człowieka min, dla czegóżby krokodyl nie miał nauczyć się od niego łez?

* *

Żona skąpca i kochanka marnotrawcy nie lubią swych towarzyszów, lecz pieniądze.

* *

Z obawy zamaczania nóg u źródeł prawdy, rzucamy się w ocean kłamstwa.

C. N.

wną do tej pory odgrywa rolę, i stanowi to, co nazywamy *dobroczynnością publiczną*. Jestto faza w której sprawa ta najdłużej pozostawała i do dziś dnia jeszcze w znacznej części pozostaje. Wspieranie ubogich występuje tu jako ogólny obowiązek każdego, miłosierdzie jest cnotą społeczną i zasługą przed Bogiem. Źródła jednak pomocy są czysto dowolne i fantastyczne. Dobrowolne dary pod najrozmaitszą formą składane, pełna poświęceń działalność miłosiernych, a w części pobożnych osób, stanowią jedyne choć często potężne środki dobroczynności publicznej. Rzecz jasna, że w tym okresie organizacya opieki nad ubogiemi nie może być należyta, że musi panować w niej chaos i nieład, że działalność rozstrzela się na wszystkie strony i nie może ześrodkować się w żadnym organie, któryby systematycznie całą machiną kierował. Skoro bowiem źródła pomocy, i praca około niej pochodzą z łaski jednostek, ich wola szanowana być musi. Narzucenie jednolitej, systematycznej organizacyi jest niemożliwe, bo ostudziłoby to w wielu zapał dobroczynny i ograniczyło hojność. Osoby składające ofiary na ołtarzu dobroczynności, same zwykle wskazują cel i warunki korzystania z ich daru; jest to często nagrodą dla nich za okazane miłosierdzie. We wskazywaniu zaś celu, w tworzeniu nowych instytucyi dobroczynnych nie kierują się one zwykle żadnemi racyonalnemi, na zbadaniu potrzeb i znajomości środków opartemi zasadami. W skutek tego zauważono słusznie, że wiele z instytucyi dobroczynnych chybia swego celu i raczej szkodę niż pożytek przynosi, tembardziej, że instytucye takie istnieją nieraz całe wieki bez zmiany, bez zastosowania do potrzeb obecnych, a to dla uszanowania woli fundatora.

Przychodzi wreszcie czas na trzecią fazę w rozwoju wszelkiej ludzkiej działalności. Czas ten zjawia się wtedy, gdy dana potrzeba roztacza się na tak znaczną część społeczeństwa, że okazuje się konieczność stałego, systematycznego jej zaradzenia. W tym punkcie t. j. co do sposobu tego zaradzenia zachodzi znaczna różnica, zależna od natury potrzeby, która daną działalność wywołała. Jeżeli potrzeba i środki zaradcze są tak proste, że pojedyńcze jednostki są w stanie dopatrzyć się w nich swego interesu, swej korzyści, interwencya społeczeństwa staje się zbyteczna. Główny ekonomiczny czynnik, egoizm, troska o dobrobyt, jest sam przez się dostatecznym bodźcem, żeby skłonić pewną sumę jednostek do wytworzenia dobrze i porządnie uorganizowanych instytucyj, mających na celu wszechstronne zaspokojenie jakiejś powszechnej potrzeby. Co najwyżej, jeżeli instytucya taka wymaga znacznych nakładów, ogół wspiera ją zbiorowemi środkami materyalnemi. Działalność w tym kierunku wchodzi tedy na najwyższy stopień swego rozwoju t. j. w sferę poruszaną osobistym interesem, spokojnie, ze wzajemnym zadowoleniem stron. Zaczyna się widoczna dla wszystkich i wygodna epoka prawidłowej wymiany usług.

Inaczej rzecz się ma wtedy, jeżeli potrzeba, choć rozpostarta na rozległą sferę i wywołująca absolutną konieczność prawidłowego przyjścia jej z pomocą zbyt jest skomplikowana, żeby mogła być zrozumiana należycie przez wszystkie jednostki ogół składające, jeżeli jednostki te nie widzą swego interesu w oddaniu innym usługi. Tu wymiana indywidualna miejsca mieć nie może, bo dający nie czuje doniosłości tego co datkiem swym okupuje; dając, sądzi nie raz, że daje jałmużnę tam, gdzie w rzeczywistości opłaca konieczny podatek na utrzymanie organizmu społecznego, którego cząstkę stanowi. W tych razach społeczeństwo czynnie wystąpić musi, egoizm społeczny zastępuje indywidualny. Tam gdzie jednostki nie widzą dla siebie korzyści z przyjścia z pomocą potrzebie, lub tego uczynić nie mogą, spostrzega je społeczeństwo i we własnym interesie, w imię instynktu samozachowawczego bierze na siebie nowy *obowiązek*. Obowiązek, bo wywołuje go nie łaska dla innych, nie moralne odczucie ich cierpień i dążenie do wspaniałomyślnego im ulżenia, lecz wzgląd na siebie samego, konieczność utrzymania swej egzystencyi.

W tem właśnie położeniu znajduje się działalność około wspierania ubogich. W czasach obecnych nędza wywalczyła już sobie, niestety, poważne stanowisko w organizmie społecznym i dopomina się o swe *prawa*. Obejmując sobą coraz liczniejsze zastępy w łonie nowożytnych społeczeństw, stanowiąca już niezaprzeczoną, groźną *siłę*, przestaje *prosić*, a zaczyna *żądać*. przestaje zwracać się do miłosierdzia, i łaski, lecz odwołuje się do praw, które w razie ich nieuznania, wywalczyć jest w stanie. Nie uważa się już za cios dotykający jednostkę z jej własnej winy lub dopuszczenia bożego, które z pokorą i poddaniem się przyjąć należy, ale zaczyna obwiniać ustrój społeczny, w nim widząc swe źródło, i jemu przypisuje obowiązek przyjścia z pomocą. A społeczeństwo nie śmie temu zaprzeczyć i obowiązek ten ze swej strony uznaje. Mężowie poważnej nauki, wytrawni kierownicy machiny społecznej nie podzielając dzikich wybryków socyalnego ruchu, dostrzegają już jednak prawdę na dnie jego spoczywającą, prawdę, że istniejący porządek ma swe ofiary, którym los ich smutny, o ile można, wynagradzać musi, jeżeli nie chce zawalić się pod ich ciosami.

Wobec tego działalność dobroczynności jednostek lub stowarzyszeń oparta na ich dowolności i łasce, staje się nie wystarczającą, okazuje się gwałtowna potrzeba ścisłego, dokładnego uorganizowania pomocy dla biednych, opartego na zasadzie jedynie zdolnej do podtrzymania wszelkiej porządnej instytucyi społecznej, t. j. na interesie osobistym, na poczuciu prawnego nie zaś tylko moralnego lub religijnego obowiązku. Od ludzi tkliwego serca, z rąk księży i dewotek, opieka nad ubogiemi musi przejść do atrybucyi władz społecznych, pod zarząd obowiązanych do tego specyalnych organów administracyi. Z honorowej rozrywki emerytów i ludzi szukających rozgłosu, z przedmiotu płochej nie raz i próżnością zaprawnej rozrywki dam wielkoświatowych stać się musi kwestyą poważną, zajmującą prawodawców i mężów stanu.

Ta sekularyzacya dobroczynności, to sprowadzenie opieki nad ubogiemi z mglistych, fantastycznych lubo i szlachetnych sfer miłosierdzia i religijnej ekstazy do chłodnej i na rachunku opartej działalności organów społecznych w dwu głównie przejawia się kierunkach. Jeden z nich dotyczy źródeł materyalnych pomocy ubogim, drugi — sposobu jej udzielania.

W okresie absolutnego panowania dobroczynności (bienfaisance, Wohltätigkeit) środki materyalne płyną, jak wiadomo, z mnóstwa źródeł, mniej lub więcej obfitych, lecz zawsze mniej lub więcej niepewnych. Hojne dary przyjaciół ludzkości, skromne datki osób litościwych, zapisy sknerów, którzy na łożu śmierci zaczynają dopiero marzyć o uszczęśliwieniu ludzkości majątkiem, którego do grobu zabrać ze sobą nie mogą, łączą się tu z wyciśniętemi konwenansem i w cichości przeklinanemi ofiarami, z prezentami upojonych holdami i łatwym zarobkiem aktorów i śpiewaczek, z ofiarowanemi a niezprzyjętemi honoraryami za „przyjacielskie usługi" i t. p. efemerycznemi dochodami. Rzecz jasna, że źródła te, pomijając nawet dołączane do nich często, a nie zawsze trafne warunki, nie mogą służyć za podstawę żadnej porządnie uorganizowanej instytucyi publicznej. Społeczna pod powagą państwa istniejąca opieka nad ubogiemi (assistance, Armenpflege), musi mieć inne, pewne, stałe źródło a mianowicie obowiązkowy dla wszystkich *podatek na ubogich*. Daje on z jednej strony możność ułożenia dokładnego budżetu i racyonalnego kierowania instytucyą, z drugiej zaś jest dotykalnym wyrazem obowiązku społecznego wspierania ubogich, interesu jaki w tem ma cały ogół. Podatek taki istnieje od r. 1601 w Anglii, w innych jednak krajach nie masz go dotąd nigdzie. Co najwyżej państwo ustanawia pewne opłaty dodatkowe na korzyść instytucyj dobroczynnych. Istnieje wprawdzie tu i owdzie obowiązek gmin pomagania swym ubogim (między innemi i u nas), lecz brak bliższych jego określeń i specyalnych na ten cel funduszów, redukuje go do nader drobnych rozmiarów.

Drugą ważną cechę charakteryzującą społeczną, na obowiązku opartą opiekę nad ubogiemi, stanowi sposób jej uorganizowania. W epoce wyłącznej dobroczynności o ścisłej organizacyi mowy być nie może. Na straży interesów ubóstwa stoi raczej serce niż rozum, dobre chęci niż umiejętność. Teorya powszechnie przyznaje, że w wielu razach dobroczynność więcej szkody niż pożytku przynosi i staje się plagą publiczną zamiast być ogółowi pomocą. Opieka, ku której siła okoliczności zmusza nowożytne społeczeństwa, musi mieć porządną, na wynikach nauki i poważnego doświadczenia opartą organizacyę. Kierownictwo jej znajdować się musi w ręku ludzi fachowych, specyalistów w sprawie opieki nad ubogiemi, bo w ten tylko sposób istnieć może jakakolwiek instytucya społeczna. Zasady jej ujęte być muszą w pewne stałe, ściśle określone normy, które stanowić będą z czasem osobną naukę tak, jak istnieją nauki o innych gałęziach administracyi.

O ile porządna organizacya wpłynąć może na polepszenie stanu rzeczy w tej dziedzinie wykazać można na Niemczech, gdzie wiele miast przechodzi już powoli od systematu dobroczynności prywatnej do społecznej regularnej opieki nad ubogiemi. Jako miasto pod tym względem wzorowe i stanowiące dla innych wzór, cytują Elberfeld. Organizacya tamtejsza datuje od r. 1852. W mieście posiadającem podówczas około 50,000 ludności ustanowiono 252 opiekunów honorowych z obywateli, i podzielono ich na 18 rewirów. Na każdego przypadało od 2 do 4 wypadków udzielania pomocy, co nie mogło ich bardzo obciążyć pracą. Opiekunowie zbierają się na sesye cyrkułowe, zaś naczelnicy cyrkułów na sesye główne, stanowiące organ najwyższy. Dodać należy, że według prawa z r. 1870 miejsca opiekunów są obowiązkiem publicznym, od których nikomu nie wolno się wymówić. Rezultaty nowej organizacyi w Elberfeld okazały się do zadziwienia pomyślne. W roku 1852 było w mieście 4,000 ubogich potrzebujących pomocy (8% — 9% ludności) w r. 1876 pomimo wzrostu ludności o 30,000, było ich zaledwie 1.100 t. j. $1^{1}/_{2}$% ludności. W Krefeld, gdzie wprowadzono w r. 1862 organizacyę elberfeldską, rezultaty obliczone pięcioleciami były następujące. W r. 1858 — 62 (przed wprowadzeniem) ubodzy stanowili 4.5% ludności, w r. 1862 — 67 5.5%, w r. 1868 — 72 3.2%, zaś w roku 1873—77 tylko 2 7%. Wzrost ubogich w pięcioleciu 1863—67 tłomaczy się skutkami wojny 1866 r., które w Krefeld znacznie odczuć się dały.

Nie leży w zakresie obecnego artykułu wdawanie się w szczegóły kwestyi opieki nad ubogiemi. Chodzi w nim jedynie o zaznaczenie nowego zwrotu, na jaki sprawa ta wejść musi, na jaki nawet wchodzi już zaczyna (np. w Niemczech). Zdaje mi się, że cały dotychczasowy przebieg tej sprawy,

analogiczny z innemi sferami działalności społecznej, ten jej kierunek wskazuje. Z drugiej zaś strony niepodobna zaprzeczyć, że nastrój obecnej epoki, naprężenie stosunków między klasami ekonomicznemi stanowczy przełom w tym względzie wywołać musi. Uznanie obowiązku społeczeństwa do udzielenia w sposób racyonalny i prawnie określony pomocy każdemu ubogiemu będzie może jednym z najpierwszych środków zażegnania na drodze spokojnej burzy socyalnej.

Czy jednak wobec tej nowej, państwowej fazy w sprawie opieki nad ubogiemi, upadnie całkiem dawny pierwiastek dobroczynny, na miłosierdziu oparty? Nie ulega wątpliwości, że nie, tak samo jak zaprowadzenie hoteli nie mogło stanąć na zawadzie objawom gościnności, lub zakładanie banków wykluczyć zupełnie udzielanie przyjacielskich, bezprocentowych pożyczek. Dobroczynność działać nie przestanie, lecz zejdzie na drugi plan, wejdzie pod kontrolę porządnie uorganizowanej instytucyi. Ofiarność dobrowolna może stanowić nawet w znacznej części dodatkowe źródło dochodów tej instytucyi a prócz tego znaleźć może zawsze nowe pole do działania i w innym pożytecznym dla ogółu zwrócić się kierunku.

K. D.

TEORYA WYCHOWANIA,

oparta na historyi, psychologii, moralności, polityce

(podług GABRIELA COMPAYRÉ).

I.

Badania idej pedagogicznych, jakie świat kiedyś obiegały, nie mogą być uważane za satysfakcyą, daną historycznej ciekawości erudyty. Stanowią one raczej wstęp i przygotowanie do zbudowania teoryi lepszej, dokładniejszej i ściślejszej. Kierowani wspomnieniami przeszłości, a ożywieni nadzieją przyszłości dobrej, postaramy się w streszczeniu przedstawić, jakie są elementy teoryi wychowania racyonalnego i na jakich to danych historycznych, psychologicznych, moralnych oraz politycznych winna się wesprzeć teorya tego rodzaju. Postaramy się w rysach ogólnych skreślić plan nowej pedagogiki, któraby jednocześnie odpowiadała powszechnej naturze człowieka, a obok tego czyniła zadosyć bieżącym potrzebom społeczeństwa. Postaramy się wykazać, co może owa teorya pożyczyć od przeszłości, co powinna do niej dodać, zasiliwszy się i wzbogaciwszy obecnie wiedzą psychologiczną nadewszystko. Znaczne to są trudności, które stają na drodze filozofii wychowania, a kto wie, czy nie pozostaną one na zawsze trudnościami niepokonanemi. Otóż, jeśli w usiłowaniach stawiania nowych teoryj wychowawczych wątłą tylko można mieć nadzieję, ażeby coś stanowczo dało się rozstrzygnąć, to przynajmniej wypada koniecznie kwestyą postawić jasno i wyraziście. W każdym razie należy przygotować grunt dla umiejętności, którą dzisiejsza epoka zalicza do *pia desideria*, a która — gdyby się ustaliła, położyłaby koniec stąpaniu po omacku i bezustannemu eksperymentowaniu.

Wiekom ubiegłym nietyle zbywało na znajomości zasad, ile na umiejętnem ich wyzyskaniu, na właściwem zastosowaniu i wyznaczeniu tymże zasadom istotnego stanowiska. Prawdy pedagogiczne rzadko kiedy były analizowane; występowały one niejako przypadkowo, a nie zagłębiano się, aby je zbadać do gruntu, ani też nie usiłowano rozwijać ich następstw. Większa jednakże część zasadniczych elementów, stanowiących sztukę wychowania, znaną była oddawna, a nowożytny pedagog dobrze postąpi, jeżli dzieło swego zawodu rozpocznie od oryentowania się w tradycyach przeszłości.

Rabelais jako cel wychowania postawił wiedzę encyklopedyczną. Edukacya poczęła się wyswabadzać z jarzma scholastycyzmu, zrobiła rozbrat z pedantyzmem, z formalizmem sylogistycznym.

We Francyi krok następny zaznaczony jest przez Montaigne'a, który inną ideę znowu uczynił popularną. Dla niego wiedza nie jest celem wychowaczym jedynym, ale wychowany człowiek ma być świadom spraw życia; winien on raczej być rozsądnym, niż wiele umiejącym. Rabelais widzi swój ideał edukacyjny w energicznem a pracowitem gromadzeniu wiedzy, podczas gdy Montaigne pragnie, aby człowiek swobodnie tylko umiał używać tego, co umie.

Jezuici przyoblekli wychowanie w inną szatę. Wśród mnóstwa błędów, którymi się systemat ich odznacza, jeden punkt jest trwalszej natury — mówimy tu o zwróceniu całej baczności na przyswojenie wychowańcowi wykwintności literackiej formy zarówno w rozmowie, jak w utworach piśmiennych. Metoda jezuicka zdąża do tego, aby młodzieniec kochał nauki i aby ćwiczył swój umysł przez naśladowanie wzorów starożytnych.

Podczas gdy jezuici pogrążają się całkowicie w drobnych przepisach retorycznych i poetyckich, samotni pedagogowie z Port-Royal zdają się głębiej wnikać w duszę ludzką i rozmyślają nad tem, jak wytwarzać poważne przymioty charakteru. Nie zapominają przytem, iż ów przybytek edukacyjny pierwszy przyłożył się do powstania narodowego wychowania francuzów, a to przez wyznaczenie krajowemu językowi stanowiska jedynie właściwego w nauczaniu dzieci, co dotąd jeszcze nie dla wszystkich jest zrozumiałe w różnych krajach. W Port-Royal również nauki humanitarne poczęły być stosowane jako ćwiczenia umysłu, a nie jako językowa wprawa.

Bossuet i Rollin nie nadali wcale nowego blasku sztuce wychowania, ale — można-by powiedzieć — udoskonalili gust i wykwint literacki. Dla Rollina gust ów jest najwyższym celem nauki i panującym przymiotem człowieka. On to stworzył teoryą smaku w przeddzień wieku, gdzie tylu pisarzy sławnych zaznaczyło chlubnie w literaturze swoje imiona. Wprawdzie smak taki, co do znaczenia swego w wychowaniu, nie zdoła sprostać ani wzniosłości dobrze wychowanych uczniów, ani też niemożna go cenić na równi z gruntownością poznania, jednakże ma on prawo być zaliczonym do istotnie pożądanych przymiotów dobrze wychowanego człowieka.

Mniej może sławny autor, Fleury, postawił nadzwyczaj ważne pytanie: „gdzie się ma zatrzymać nauka wspólna dla wszystkich? gdzie się ma rozpocząć nauka specyalna? i t.d.“

La Chalotais, Roland zalecają we Francyi pierwsi nauczanie, ustanowione przez państwo, udzielane dzieciom przez ludzi świeckich i postawione ponad stronnictwa religijne. Oni także rozpowszechnili ideę uniwersytetu, jaki urzeczywistnił Napoleon w późniejszym czasie, czyniąc zawisłą od swych interesów osobistych i dynastyjnych instytucyą, którą La Chalotais oraz Roland pojmowali w myśl powszechnego interesu ojczyzny.

Co się tyczy wychowania niewiast, pani de Maintenon i Fénelon pojęli dobrze jednę część wychowania kobiety, pragnąc dla niej przymiotów serca, rezygnacyi, dobroci. Niewiasta ma się przygotować do odegrania swej roli jako małżonka, matka, chrześcianka. A jeśli oni położyli za mały nacisk na intelektualną edukacyą dziewcząt, za to Condorcet wynagrodził ich braki, proponując bardzo rozległy a nawet zbyt przeciążony program wychowania kobiety.

Ze wszystkich atoli myślicieli, traktujących we Francyi dzieło wychowania, pedagogika najwięcej musi mieć wdzięczności dla Rousseau. Bo cóż to za przepyszne zasady, złożone w „Emilu,“ przyczyniły się do sowitego pomnożenia dziedzictwa pedagogów! Spotykamy tu przedewszystkiem płodną ideę stopniowego rozwoju, kroczącego od wieku dzieciństwa po przez wiek młodzieńczy, — ideę, która zobowiązuje pedagoga, aby zachowywał miarę i proporcyę względnie do wieku swego wychowańca, jako też odpowiednio do jego zdolności. Tu także występuje pojęcie dbałości o ciało, o zdrowie, o siły fizyczne. Bo wszakże pierwszym warunkiem powodzenia w życiu jest, jak mówi energicznie H. Spencer, „być zdrowem zwierzęciem.“ W „Emilu“ także uderza nas zalecenie, aby dziecię — o ile można — powierzać jego własnym siłom, ścieśniając zakres wpływu nauczyciela, nieraz tak bardzo przesadzony. Wielka to myśl zaprawdę szukuć w naturze człowieka podstaw edukacyi, dać swobodę tejże naturze, aby kierowała wychowawczo dzieckiem. Sztuka wychowania tutaj znaleść może punkt wyjścia dla siebie. Niemniej w tem samem dziele wielkiego filozofa-pedagoga spotykamy się z systemem kar naturalnych, zastępującym miasto kar samowolnie wymierzanych przez nauczycieli oraz rodziców. Łatwo pojąć, na czem kary takie polegają i jeśli dziecię stało się sprawcą nieporządku, ono samo winno przywrócić porządek; jeśli zepsuło jakąś swoją zabawkę, niechaj się bez niej obchodzi i t. d.

Wszystkie prawie wielkie dzieła pedagogiczne naszego wieku czerpały w nieśmiertelnym „Emilu“ natchnienia swoje.

Wychowanie nietylko jest kwestyą psychologiczną i odnoszącą się do zbadania indywiduum: jest ono zarazem sprawą polityczną i wielkim społecznym interesem. To też i z tego punktu widzenia myśliciele, o których tu była mowa, poruszali ważne zagadnienia i przygotowywali ich rozwiązanie. Rewolucya wielka, którą niesłusznie oskarżają, iż niszczyła urządzenia przeszłości, tworząc wszystko na nowo według wzoru czystej logiki, ogłosiła jednak prawa rodziny i osobistości człowieczej. Wszakże potępiła ona nastawanie państwa na swobodę sumienia i wyznała uczucia jak najczystszego liberalizmu. Po za tem jeszcze pierwsi, który zapragnęli w dobrej wierze rozpowszechnienia oświaty, byli to ludzie rewolucyi. Rozsiać potoki światła po najodleglejszych siołach, zakładać wszędy szkoły, — nie jestże to szlachetna i społecznie wielce użyteczna myśl? Teraz dopiero powstał ideał wychowawczy: patryota i obywatel, który więcej jest wart niż erudyta lub stylista.

Pedagogika niezawodnie najstaranniej uprawianą jest w Niemczech, ale potężne jej sprężyny wyrobione zostały po większej części na dalszym zachodzie: we Francyi; należy tylko zebrać i zestawić myśli rozprószone po różnych pracach.

Nie można też zrozumieć, czego chcą niektórzy pedagodzy płci męzkiej i żeńskiej, co sami z siebie wszystko snują, nie bacząc, jak daleko lepiej od nich ludzkość wiele rzeczy już wykończyła. Możeby nasze panie, przeważnie figurujące w literaturze pedagogicznej polskiej, złamały tymczasem swe pióra i zabrały się do czytania oraz praktyki nauczycielskiej, a przekonałyby się, iż długo musi się uczyć pedagog sam, zanim innych nauczać pocznie. Historya pedagogiki nie jest prostym wykazem idej, następujących po sobie bez związku: jest ona raczej nieświadomym postępem, zbliżającym się nieustannie do swego ideału, wytkniętego przez przyrodę. Pedagog eklektyk winien podążać za tym potokiem, powinien, że tak powiemy, spostrzedz tu teoryą przyrodniczego doboru, według którego idee mniej doskonałe ustępują doskonalszym.

Wśród owych dziejów myśli wychowawczej spostrzegamy aspiracyą rodzaju ludzkiego do dania przewagi naukom użytecznym i praktycznym nad innemi naukami, niejako będącemi przedmiotami zbytku. Możnaby ten popęd, stopniowo doskonalący się, porównać z popędem, przekładającym w ubiorze błyskotkę raczej, nad rzecz potrzeby lub wygody. W historyi wychowania nauki błyskotliwe, które ozdabiają niejako umysł, przez długi czas miały przewagę nad gruntowną wiedzą, karmiącą istotnie ludzkiego ducha i przygotowującą go do stoczenia walki o byt. A dzisiaj jeszcze, czyż nie jesteśmy skłonniejsi do chełpliwości z powierzchownej ogłady humanisty, aniżeli z rzetelnego wykształcenia przemysłowca lub rękodzielnika? Temu to gustowi zaprawdę winni jesteśmy zamiłowanie nasze do łaciny i greki, których —jak u nas — to dalibóg i nauczać mało kto umie nawet. A czemużbyśmy innemu przypisali zamiłowanie nasze do francuzczyzny, dla której matki i ojcowie poświęcają intelektualny rozwój swych pacholąt. Naturalnie, w edukacyi kobiety przewaga zbytkownej owej nauki jest jeszcze w wyższym stopniu uderzającą. Tutaj panuje zupełna dekoracya zarówno we wszystkiem, co się odnosi do ciała, jako też i do umysłu. W „Emilu" Rousseau, w wielkiej liczbie dzieł XVIII wieku, w projektach rewolucyi, oraz w usposobieniach nowszych czasów przebija się pragnienie, niekiedy nadmierne nawet, aby miasto tych czysto dekoracyjnych nauk, mających za cel podziw i przyklask, podstawić nauki użyteczne, które nietylko zapewniają jednostce dobrobyt, ale nadto ułatwiają jej spełnianie wyższych zadań i obowiązków.

Adolf Dygasiński.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEMCY A GERMANOWIE.

(Dokończenie).

Virchow, badając te plemiona niemieckie, które w czasach historycznych występują na widownię walki z rzymianami, spostrzega już znaczną różnicę pomiędzy niemi w ustroju ciała, gdyż najdawniejsze zabytki i wykopaliska osteologiczne z północnych, środkowych i południowych Niemiec nie wykazują żadnego wspólnego wybitnego typu. Ponieważ nie ulega żadnej wątpliwości, że rozmaite plemiona, wchodzące w konflikt i stosunki z rzymianami, w rozmaitych epokach czasu występowały z głębi Niemiec, więc zdaniem tego badacza, nie odłączały się one tylko od jednego głównego pnia w Niemczech, i pewnych różnic między niemi należy szukać i przypuszczać gdzieś głębiej na wschodzie. Zważmy też i na to, że plemiona posuwały się zwolna na zachód, postępując wachlarzowato i zajmując stopniowo jedną ziemię po drugiej — więc nie mogły występować jako absolutnie jednostajny naród, lecz posiadały swe odrębne cechy, dostatecznie silne, by się w liczbach unaoczniły. Zapytajmy chociażby tylko historycznych świadectw, to spostrzeżemy trzy odrębne plemiona: na północy ingaevonów, w środkowych Niemczech hermionów a wreszcie Istavonów. Wszak bardzo naturalnem będzie pytanie, czy różnica pomiędzy niemi była tylko polityczna? była li ona tylko różnicą moralną, tak zwykłą w ludzkości? czy też tylko dyalektyczną? Odpowiedzmy wpierw na te pytania, zanim o Germanii mówić zaczniemy.

Wszak dzisiaj, gdy patrzymy na wielkie plemiona, które same siebie jako całość, a inne plemiona jako sobie obce uważają n.p. w Afryce, nikt nie będzie twierdził, że mamy tu do czynienia tylko z przypadkowemi, zewnętrznemi różnicami plemiennemi — dlaczegóż odmienne miałyby być stosunki Germanii? Ze wschodu przybyły jak wiadomo szczepy germańskie, w długich odstępach czasu posuwały się stopniowo na zachód, na rozmaitych miejscach zatrzymywały się i tam żyły, a bardzo prawdopodobną jest rzeczą, że musiały się mięszać z innemi szczepami. Czyż mamy jakiekolwiek dane, aby nie przypuszczać, że fryzowie nad Renem posiadali inny ustrój ciała aniżeli frankowie, a alemanowie inny aniżeli frankowie, lub że bajuwarowie w odmiennych warunkach wzrastali fizycznie od sigambrów? Ja sądzę, mówi Virchow, że musimy się na dziś z tem pogodzić, iż nie jesteśmy w możności znaleźć w historycznych świadectwach innych wskazówek, prócz dotyczących właściwości pewnych ludów, które z ówczesnym narodem ucywilizowanym weszły w stosunki, lecz jest niepodobieństwem wyśledzić stan pierwotny zakwestyonowanych szczepów i rozprawiać o wschodniej kolebce jednego wspólnego pnia.

Jeśliby kto dziś powiedział, że czytał o tożsamości nazwisk wandalów i wendów, a tem samem pierwszych za słowian poczytywał i opierając się na tem umieścił wandalów jako napływowych na Szląsku i w Łużycach, a następnie twierdził, że słowianie byli tu osiedleni przed wędrówkami narodów, że zatem znalezione wykopaliska należą do słowian, to jeszcze przed kilku laty można było śmiało powiedzieć, iż cały materyał osteologiczny, jest tak zaliczony do germańskich wykopalisk, a zwłaszcza czaszki noszą tak wybitne piętno germańskiego pochodzenia, że bez namysłu zaliczamy te szczątki do dziedziny dolichocephalicznych przodków niemieckich n. p. wandalów. Nagle napotkano ozdoby słowiańskie (Schlayfenringe) i tych rzekomych pragermanów uznano powszechnie za słowian. Zdaniem Virchowa obecny stan nauki i zyskanych wiadomości przemawia za tem, że owe groby i szkielety są słowiańskie.

W dalszym ciągu swej rozprawy, pisze Virchow, że przyznanie słowianom wykopalisk nad Łabą, Odrą i Wisłą jest w każdym razie bolesną rzeczą (allerdings schmerzhaft), lecz sprawiedliwą, a tem niedogodniejszą dla niemców, że badacze muszą na tem polu długo i sumiennie pracować, by dojść do stanowczych rezultatów, gdyż obecnie jest się zaledwie u początków, to też wyrok ferowany na podstawie osteologicznych materyałów w kwestyi germańsko-niemieckiej, jest co najmniej bezzasadnym i przedwczesnym.

W tej samej sprawie oceny stanowiska i wzajemnych stosunków dzisiejszych niemców do dawnych germanów, zabrał głos Karol Vogt, którego zdaniem prusacy nie powinni tak wysoce pozować na germanów, bowiem przeważa w nich krew słowiańska, a domieszka germańska jest nader szczupłą.

Przeciwko Vogtowi występuje Virchow, twierdząc, że w X i w XI wieku był nader silny napływ niemiecki na ziemie słowiańskie, że ilość krwi wendyjskiej, wszełej w ustrój cielesny prusaków nie należy uważać za przeważającą krew niemiecką, że łatwość zgermanizowania Pomorza wskazuje dostatecznie jak silnym był żywioł niemiecki i jak głęboko zapuścił korzenie.

Naszem zdaniem dowodzenie Virchowa, jest gołosłowne, nie poparte danemi statystycznemi i znajomością przebiegu walki ze słowiańszczyzną zachodnią, posiadamy bowiem autentyczne świadectwa, że Niemcy stanowili tylko wierzchnią, napływową warstwę w krajach słowiańskich, że sami właściciele niemieccy osłaniali słowiańskich mieszkańców przed napaścią i tępieniem, działając w tym wypadku w interesie osobistych korzyści, bowiem lud był dogodnem bydłem roboczem, istnienie wsi t. z. „Wendische Dörfer" z populacyą na wskroś słowiańską, obudzenie się ruchu narodowego w serbo-łużyczanach etc. etc., świadczą dowodnie, że pierwszy, najważniejszy i najbardziej wpływowy na etnologiczne stosunki pokład mieszkańców, dzisiejszych Prus, Meklenburgii, Hanoweru i t. d., stanowił lud słowiański, że zatem zdanie Vogta jest najzupełniej usprawiedliwione. Pisząc to, nie łudzimy się wcale nadzieją, że prusak uzna się za słowianina, że powodowany wspólnością krwi nie będzie gnębił słowian, lecz idzie nam jedynie o stwierdzenie faktu, że dzisiejsza dzielność umysłowa i fizyczna północnych Niemiec jest wypływem zlania się dwu ras.

Kollmann, którego przecież nikt nie posądzi o słowianofilizm, jest jednak zdania, że słowiański żywioł sięgał bardzo daleko w głąb Europy, przyznaje nietylko lewy brzeg Łaby i górną Fuldę, ale widzi słowian nad Renem i morzem północnem, a ślady ich wędrówek posuwa daleko na zachód. Badacz ten opiera się w tym wypadku na wykopaliskach, lingwistyce i nazwach geograficznych.

Więc w chwili obecnej posiadamy zgodne mniemania dwóch poważnych badaczów: Vogta i Kollmanna, którzy przyznają słowianom wielką rolę w dziejach cywilizacyi i ustroju fizycznego mieszkańców Europy. I zaiste potwierdza się zdanie jednego z angielskich uczonych, który germańskie plemiona osiadłe pomiędzy Wezerą a Renem porównywa do tłustej plamy na białem tle; tłuszcz rozszerzając się zanieczyścił i zabrudził przyległe kraje.

Badając stosunki południowych Niemiec, pisze Virchow, natrafiamy na jeszcze większe trudności w rozwiązaniu tej kwestyi na północy, gdyż w stronach północnych mamy do czynienia z jednolitą masą ludu, występującą jako czynnik wpływowy, a mianowicie ze słowianami, zaś na południu sprawa keltów czy celtów przedstawia się nam jako sfinks, którego, przynajmniej dotychczas, nikt nie odgadnął ani rozwiązał; i w istocie tylko ten może mówić, że poznał tę kwestyą, kto dał się unieść entuzyazmowi, swemu widzimisię lub zarozumiałości. Lindenschmit nie chce nic wiedzieć o keltach w Niemczech, natomiast Virchow twierdzi, że świadectwa historyczne stwierdzają ich bytność. Badania czaszek, przedsięwzięte przez pp. Rankego i Kollmanna wskazały w południowych Niemczech silną przewagę krótkogłowych (brachycephalen), musimy więc przypuścić albo znaczny napływ albo istnienie rodzinnego pokładu, preegzystencyi krótkogłowych. Zważywszy na analogiczne stosunki we Francyi, gdzie począwszy od Loary na południe panuje ten sam typ, co i w południowych Niemczech, to zaiste przypuszczenie, że krew keltycka płynie w ludziach o tych krótkich ciemnowłosych głowach nabiera wielkiego prawdopodobieństwa. Nad tą kwestyą dyskusya jest otwartą, a prawie nie rozpoczętą. Ponieważ nie zbadano należycie wpływu i znaczenia keltów, nie można więc myśleć o rozwiązaniu zagadnienia niemiecko-germańskiego w południowych Niemczech.

Przy końcu swej rozprawy, przestrzega Virchow badaczy, by zbyt pochopnie nie stawiali teoryi na podstawie wspólności lub podobieństwa brzmień w nazwach szczepów, ludów lub miejscowości, a przyjąwszy nie wytwarzali czczych domysłów etnologicznych lub antropologicznych. Tem mniej znaczenia mają nazwiska rodzinne. Jeśli się dzisiaj kto Schulze nazywa, to wcale nie dowodzi jego germańskiego pochodzenia, nazwisko to pochodzi z piastowanego urzędu i godności; z nazwy urzędnika przeszło na osobę i rodzinę, podobnie jak inny nazywa się Müller lub Schuster z tytułu rzemiosła, a nie wiemy czy w czasie gdy w niem pracował należał do tej lub owej rasy. Wiadomą jest rzeczą, że ustalenie nazwisk rodowych nastąpiło względnie późno, bo dopiero w XIV wieku, zatem na pewno

nie możemy sądzić z nazwiska, czy ktoś jest słowianinem czy niemcem. Tego rodzaju pseudofilologia nie opiera się na żadnych innych dowodach, oprócz na przypadkowem brzmieniu nazwiska. Ponieważ są tacy uczeni, którzy starannie gromadzą statystyczne dane nazwisk, by na nich budować swe systemata, więc ostrzeżenie to jest bardzo na czasie.

Jesteśmy u końca poruszonej kwestyi. Reasumując wywody Lindenschmita, Kollmanna, Vogta i Virchowa, widzimy, że szowinizm pierwszego badacza zaprowadził go na bezdroża i do absurdów niegodnych poważnej nauki i zdobytych materyałów; zapatrywania dalszych trzech badaczów wykazują, że utożsamianie germanów z dzisiejszymi Niemcami nie ma racyi bytu, a materyał osteologiczny jest niewystarczający, by dojść do stanowczych, pozytywnych rezultatów. Jednak nie ulega wątpliwości, że w badaniu typu i charakteru niemców musimy wciągnąć jako wpływowe czynniki słowian i keltów, pozostało więc zagadnienie tylko co do quantum, bo qualitas jest znana.

Wojciech Gruszecki.

KORESPONDENCYA TALLEYRANDA.

(Dokończenie).

Po tem ogólnem ocenieniu polityki księcia Metternicha, skreśla w następnych słowach w liście z dnia 12 listopada 1814 jego postawę w kwestyi polskiej i saskiej. „Po konferencyi, pozostawszy sam z księciem Metternichem, a pragnąc wiedzieć, co myśli w sprawach Polski i Saksonii, — i co zamierza uczynić w jednymi drugim przedmiocie, — począłem, zamiast stawiać mu pytania, któreby był wymijał, mówić mu o nim samym, a, przybierając ton starej przyjaźni, powiedziałem mu, że trudniąc się sprawami publicznemi, trzeba także myśleć o sobie samym; że mi się zdaje, iż tego dosyć nie czyni; że są rzeczy, do których się jest zmuszonym przez konieczność, lecz że trzeba, aby ta konieczność stała się oczywistą dla wszystkich; że nie wystarcza działać z powodów choćby najczystszych, że choćby nawet te powody były znane publicznie, będzie się mimo to ulegało potwarzy, ponieważ publiczność sądzi tylko z rezultatów; że jest przedmiotem wszelkiego rodzaju zarzutów; że go oskarżają np. iż poświęcił Saksonią; że się spodziewam, iż tego nie uczynił, lecz że pocóż pozostawiać pozór tego rodzaju wieściom? Czemuż nie dać swym przyjaciołom środków swej obrony i usprawiedliwienia? Nieco otwartości z jego strony było następstwem rodzaju wylania, z jakiem doń mówiłem. Przeczytał mi swą notę do prusaków w kwestyi Saksonii, a kilka dość serdecznych podziękowań z mej strony spowodowały go, iż mi ją powierzył. Przyrzekłem mu, że pozostanie w tajemnicy. Przyłączam jej kopią (wyborne zaiste dotrzymanie przyrzeczenia, zachowania tajemnicy!) do listu, który mam zaszczyt pisać do W. K. Mości. Proszę zachować ją dobrze i pozwolić żądać jej oddania po mym powrocie. W. K. Mość przekona się z tego dokumentu, że P. Metternich obiecał prusakom, nie, jak mi zaręczał, część Saksonii, lecz całą Saksonią, obietnica, którą przecież uczynił zależną na szczęście od warunku, którego niedopełnienie ją znosi. W. K. Mość przekona się jeszcze z tej noty, że P. Metternich oddaje prusakom Luksemburg, zapewniwszy mnie poprzednio kilkakrotnie, że im nie będzie ustąpiony. Taż sama jeszcze nota odsłania oddawna ułożony projekt oddania Niemiec pod to, co się nazywa wpływem, a co będzie rzeczywiście panowaniem, absolutnem i wyłącznem, Austryi i Prus. Teraz zaręcza P. Metternich, że nie poświęci Saksonii. Co się tyczy Polski, dał mi do zrozumienia, że ustąpi wiele, co znaczy, iż ustąpi wszystko, jeżeli Cesarz Aleksander nic nie opuści.“

Raz więc jeszcze. Nie Austrya, ani Metternich, lecz sam więziony król saski i małe państwa niemieckie stały się Talleyrandowi punktem oparcia w jego obronie niepodległości saskiej. *Skuteczności* jej dopomogły wygórowane pretensye pruskie, wreszcie silny i energiczny atak Talleyranda na słabość nerwów lorda Castlereagha. Kwestye podrzędnej wagi, jak restauracya małych książąt niemieckich, kantonów szwajcarskich, wziętych pod szczególną protekcyą Cesarza Aleksandra na wstawienie się dawnego nauczyciela jego Laharpa; jak wyposażenie małżonki Napoleona i wice-króla włoskiego, jak uregulowanie stosunków na półwyspie apenińskim; zabawy i wizyty kongresowe, — przerywały bieg spraw, a nadewszystko nie dopuszczały szybkiego uregulowania dwóch naczelnych, o których była wyżej wzmianka. Sprawa Polski i Saksonii nie postępowała z miejsca. Pod koniec grudnia r. 1814 wystosowali reprezentanci Prus do kongresu notę, powtarzającą tylko w całej rozciągłości dotychczasowe ich pretensye do Saksonii. Była to owa kropla wody, przepełniająca szklankę. „Lord Castlereagh,“ pisze Talleyrand pod dniem 28 grudnia do Ludwika XVIII, „przyszedł do mnie z tą odpowiedzią prusaków, którą miał pozwolenie mi zakomunikować. Przeczytał mi ją. Traktowałem ich rozumowania jako sofizmy. Dowodziłem, że ich powagi są bez podstawy a ich przykłady bez siły ponieważ ani czasy, ani przypadki nie są te same. Z kolei rzeczy dałem do przeczytania lordowi Castlereaghowi notę moją do Metternicha. Odczytał ją bardzo spokojnie, przeczytał ją w całości i oddał mi ją bez wyrzeczenia słowa ani nagany, ani pochwały.

Celem jogo odwiedzin było mówić ze mną o komisyi, jaką chciał ustanowić, aby sprawdzić obrachunki, przedstawione przez Prusy i Austryą. Odpowiedziałem, że nie mam przeciw temu nic do nadmienienia, lecz że jeśli będziemy postępowali w tym przedmiocie, jak to czyniono dotychczas z wielu innemi, idąc na chybi trafi, bez podstawy i reguł, nie przyjdziemy do żadnego rezultatu; że trzeba więc zacząć rzecz od ułożenia zasad; że przed sprawdzeniem rachunków należy uznać prawa króla saskiego, że możemy w tej sprawie, on, Metternich i ja zawrzeć małą konwencyą. Konwencyą, odparł, przecież to alians, co proponujesz? Konwencya ta, odpowiedziałem mu, może się bardzo dobrze zrobić bez aliansu, lecz będzie i aliansem, jeśli tego chcesz; co do mnie, nie mam nic przeciw temu. Lecz alians przypuszcza wojnę lub może do niej prowadzić, a my powinniśmy się starać uniknąć wojny. Myślę, jak Pan, trzeba wszystko czynić z wyjątkiem poświęcenia honoru, sprawiedliwości i przyszłości Europy. Wojna, odpowiedział, byłaby widziana u nas złem okiem. Wojna byłaby popularną u was, gdybyście jej dali cel wielki, cel prawdziwie europejski. Jakiż byłby to cel? Przywrócenie Polski. Nie odparł tej propozycyi, a poprzestał na odpowiedzi: Jeszcze nie teraz. Zresztą dałem tylko podobny obrót rozmowie, aby go wybadać i wiedzieć, do czego w danym razie byłby skłonnym. Czy to będzie, powiedziałem mu, przez konwencyą, przez noty, czy przez protokół, podpisany przez Pana, P. Metternicha i mnie, że uznamy prawa Króla saskiego, — forma jest mi obojętną. Rzecz sama jest tu tylko ważną. Austrya, odpowiedział, uznała *urzędownie* prawa króla saskiego; wy, uznaliście je także *urzędownie;* ja uznaję je *głośno.* Różnica między nami jestże więc tak wielką, aby wymagała takiego aktu, jakiego żądasz? Rozłączyliśmy się po umowie, że się utworzy komisya, do której każdy z nas zamianuje komisarza.“ Po żywej sprzeczce z bratem lorda Castlereagha, Sir Karolem Stewarta, który zakomunikował Talleyrandowi, iż *sprzymierzeni* nie mają chęci dopuszczenia reprezentanta Francyi do owej komisyi, po zdobyciu przecież przez Talleyranda i *tego* stanowiska na reprezentantach innych kongresowych mocarstw, — przyszła owa komisya do skutku. Komisya owa w połączeniu z wiadomością o zawarciu pokoju między Anglią a Ameryką stała się źródłem i początkiem konwencyi, mającej połączyć Anglią, Francyą i Austryą. Wobec nie spuszczających nic ze swych początkowych żądań pretensyi Prus i Rosyi, oświadczył sam lord Castlereagh gotowość wystąpienia przeciw nim z czynnym oporem i zaproponował Talleyrandowi podpisanie osobnej w tym celu konwencyi. Pociągniony i ośmielony akcyą Anglii, Metternich zgodził się na nią także. W razie wojny można nadto było liczyć na współdziałanie Bawaryi, Hanoweru i Niderlandów. Słynna ta konwencya została podpisana dnia 3 stycznia 1815 r. przez Talleyranda, Castlereagha, Metternicha. Talleyrand zawiadomił o jej zawarciu Ludwika XVIII dnia następnego, proponując bezzwłoczne wyprawienie generała Ricord do Polski, jako obeznanego dokładnie z tamtejszemi stosunkami. Król francuski nie omieszkał z tej skazówki w te tropy skorzystać i sprowadził pomienionego generała z prowincyi, gdzie się chwilowo znajdował, do Paryża, gdzie go zawiadomiono o jego tajnej misyi do Polski i zaopatrzono w odpowiednie instrukcye.

III.

Nowy rok 1815 znaczy w dziejach polityki wielkiej europejskiej i kongresu ważny, epokę stanowiący zwrót. Początek kongresu w miesiącu wrześniu r. 1814 zastawał jeszcze Francyą jakoby pod rodzajem interdyktu. Mimo obalenia rewolucyi i reprezentującego ją w obliczu legitymizmu europejskiego Napoleona; mimo dokonanej restauracyi i intronizacyi Burbonów, uważała się koalicya przeciwnapoleońska za istniejącą ciągle jeszcze, co więcej za powołaną do dyktowania praw nowego porządku rzeczy europejskiego. Przekonywa nas powyższe opowiadanie, jak dzięki okolicznościom i tworzącym się nowo stosunkom, ale dzięki też niezaprzeczonej zręczności swego reprezentanta, Francya zdobywała sobie jedną pozycyą po drugiej, jak ze stanowiska wskazanego na milczenie delinkwenta, wydobyła się przeciwnie na wyżynę słuchanej i poważanej potęgi. Zająwszy nasamprzód w gronie kongresowych mocarstw równouprawnione miejsce, przeprowadziła następnie w znacznej części program swój w Niemczech i we Włoszech. W Niemczech nie dostały się Prusom ani Luksemburg, ani Moguncya. Co ważniejsza, udało się jej, nie inaczej jak w najświetniejszej epoce Ludwika XIV i Napoleona uczynić z siebie punkt oparcia i opieki dla małych państw niemieckich, obawiających się ambicyi pruskiej. Nie zupełny, ale ważny cokolwiekbądź był jej sukces w sprawie saskiej. Odniosła zwycięstwo w zasadzie, nie odnosząc go zupełnie w jej wykonaniu. Pod wrażeniem i naciskiem zgody Anglii, Francyi i Austryi w tej kwestyi, spuszczały Prusy i Rosya z początkowego targu, proponując zamiast zagłady niezależności, podział Saksonii. Nie wystarczała, nawiasowo powiedziawszy, koncesya ta Francyi, a o rozwinięcie jej na większe rozmiary miała się postarać konwencya z 3 stycznia 1815. We Włoszech ocaliła Francya według swego programu sukcesyą tronową młodszej linii rodziny panującej w Piemoncie: dopuściła tylko dożywocie mał-

żonki Napoleona w Parmie, nie pozwoliła na osiedlenie się tutaj księcia Eugeniusza, byłego wicekróla włoskiego. Jedynym punktem, niezałatwionym na półwyspie apenińskim według programu francuskiego, pozostawała królewskość Murata w Neapolu, ku niesłychanemu zgorszeniu Talleyranda, odzywającego się z nią wszędzie, czy to wobec reprezentantów mocarstw europejskich, czy wobec samegoż reprezentanta Murata, księcia Campo-Chiaro, — ku większemu, o ile możności jeszcze Ludwika XVIII dbałego niesłychanie o prawa krewnego swego Ferdynanda. Na straży Murata stała obojętność angielska w połączeniu z traktatem z roku 1813, zaręczającym mu w zamian przystąpienia do koalicyi królewskość neapolitańską; stały dalej, co ważniejsza i skuteczniejsza razem, a o czem się po raz pierwszy z *Korespondencyi Talleyranda* dowiadujemy, — pewne dalej, bardzo bliskie stosunki między księciem Metternichem a królową Karoliną, małżonką Joachima Murata. Metternich nie powstrzymywał się nawet w obecności Talleyranda od objawów entuzyazmu dla uzurpatorskiej królowej Neapolu, a Talleyrand upatrywał w owym entuzyazmie właśnie główną przeszkodę urzeczywistnienia restauracyjnych planów Francyi tamże. Trzeba dopiero było niedorzecznego, krzyżującego politykę samegoż Napoleona po powrocie jego z wyspy Elby, zbrojnego wystąpienia Murata przeciw Austryi, aby uczynić niemożliwym tron jego w Neapolu, aby w dalszem następstwie sprowadzić tyle tragiczny jego koniec.

Raził jeszcze legitymizm i restauracyjność francuskich burbonów, widok Bernadotte'a na tronie, czyli lepiej powiedziawszy, *przy* tronie szwedzkim. Tutaj jednakże pocieszał się ów legitymizm następną argumentacyą. „Byłoby to wikłać tę sprawę i psuć ją (sprawę legitymizmu i restauracyi), mieszając w nią bardzo odmienną sprawę Bernadotte'a. Bernadotte nie przybył do Szwecyi drogą zdobyczy, lecz przez adopcyę panującego króla i za zgodą kraju. Nie jest królem, ale tylko domniemanym następcą. Nie można go zaczepiać bez zaczepienia króla, który go adoptował, króla, którego nawet zastępowany przezeń uważa za prawowitego, którego cała Europa za takiego uznaje i którego W. K. Mość uznałeś, zawierając z nim pokój bezpośrednio. Dopóki król żyje, ma Bernadotte tylko prawa ewentualne, które wobec Europy są jakoby nie istniejące a stosownie do tego, spór, którego by mogły być przedmiotem, nie należy do kompetencyi ani Europy, ani kongresu. Jest to bezwątpienia złem i złem bardzo wielkiem, że ten człowiek został powołany do następstwa tronu w Szwecyi. Jestto jednakże złe, na które, jeśli istnieje lekarstwo, można go się spodziewać tylko od wypadków i czasu."

Z tego ogólnego zestawienia szczegółów sytuacyi europejskiej około Nowego Roku przekonywamy się tedy, że polityka francuska, odniósłszy na całej linii zwycięztwo, zahaczała się, prawda, że o dwie esencyonalnej wagi — kwestyą, polską i saską. Tu jednakże postarała się o zaręczenie sobie powodzenia przez faktyczne rozwiązanie tego, co się nazywało dotąd koalicyą, przez stworzenie nowego systemu aliansów, pośród którego odgrywała naczelną, przewodnią rolę. Posłuchajmy pod tym względem znów własnej relacyi samegoż Talleyranda w tchnącym promienną radością liście jego do Ludwika XVIII z dnia 4 stycznia 1814: „Duch koalicyi i koalicya sama przeżyły pokój paryski. Korespondencya moja aż do dnia dzisiejszego dostarcza w tym względzie W. K. Mości aż nazbyt dostatecznych dowodów. Gdyby pomysły, jakie zastałem tutaj przybywając, były wykonane, byłaby się Francya znalazła na pół wieku odosobnioną w Europie, nie znajdując w niej ani jednego dobrego stosunku. Wszystkie moje usiłowania zdążały do zapobieżenia podobnemu nieszczęściu; lecz najśmielsze me nadzieje nie sięgały do tego, abym doznał tak zupełnego powodzenia. Teraz, N. Panie, jest koalicya rozwiązaną i jest nią na zawsze. Francya nie jest nietylko odosobnioną w Europie, lecz W. K. Mość posiadasz w niej system aliansowy taki, iż zdawało się, że przez pięćdziesiąt lat negocyacyi nie będzie mógł przyjść do skutku. Idzie W. K. Mość w zgodzie z dwoma największemi mocarstwami, trzema państwami drugiego rzędu (Hanawerem, Bawaryą i Niderlandami), a wkrótce ze wszystkiemi państwami, trzymającemi się podstaw i zasad odmiennych od rewolucyi. W. K. Mość będzie prawdziwie naczelnikiem i duszą tego związku, utworzonego ku obronie zasad, które pierwsza orzekłaś. Zmiana tak wielka i tak szczęśliwa może być tylko przypisana opiece Opatrzności, widocznej tak wyraźnie w powrocie W. K. Mości. Po Bogu były czynnikami tej zmiany. 1) Listy moje do P. Metternicha i lorda Castlereagha wraz z wrażeniem, jakie sprawiły; 2) Insynuacye, jakie w rozmowie, z której zdałem sprawę w ostatnim moim liście do W. K. Mości, czyniłem lordowi Castlereaghowi w przedmiocie porozumienia z Francyą; 3) Starania, jakie podjąłem, by uspokoić jego podejrzliwość, dowodząc ze strony Francyi najzupełniejszej bezinteresowności; 4) Pokój z Ameryką, który, pozbawiając go kłopotu z *tej* strony, zwrócił mu więcej swobody działania i dodał mu więcej odwagi; nakoniec pretensye Rosyi i Prus, spisane w projekcie rosyjskim, którego kopią mam zaszczyt dołączyć tutaj, a nadewszystko ton, z jakim te pretensye były przedstawione i podtrzymywane w konferencyi, odbytej między pełnomocnikami ich i Austryi. Wyniosły ton tego pretensyonalnego i nadętego dokumentu dotknął do tego stopnia lorda Castlereagha, że, wychodząc ze zwykłego sobie spokoju, oświadczył, że rosyanie mają pretensyę dyktować prawa, lecz że Anglia nie stworzona na to, aby je z czyichbądź rąk odbierać. Wszystko to usposobiło go w pewnym kierunku, a ja skorzystałem z tego usposobienia, aby nalegać na zawarcie ugody, o której mówiłem mu oddawna; rozgrzał się do tego stopnia, iż mi zaproponował spisanie swych myśli pod tym względem. Dnia następnego po tej rozmowie przyszedł do mnie, a doznałem przyjemnej niespodzianki, skoro ujrzałem, że myślom swoim dał formę artykułów. Przyzwyczaiłem go aż dotąd bardzo mało do pochwał, co go uczyniło czulszym dla wszystkiego, co mu powiedziałem pochlebnego o jego projekcie. Żądał, abyśmy go przeczytali z uwagą, P. Metternich i ja. Wziąłem sobie na to godzinę wieczorną i uczyniwszy pewne małe zmiany redakcyjne, przyjęliśmy go we formie konwencyi. W kilku artykułach redakcya mogła być troskliwszą, lecz z ludźmi słabego charakteru trzeba się było śpieszyć; podpisaliśmy go tej nocy. Pośpieszam przesłać go W. K. Mości. Upoważniłaś mnie przez swe listy wogóle a w szczególności przez specyalne instrukcye z dnia 25 października przyrzec Austryi i Bawaryi *swe jak najmniejsze współdziałanie*, a stosownie do tego obowiązać się do wystawienia na rzecz tych dwóch mocarstw posiłków, jakich działające przeciw nim siły, w razie wojny, by wymagały. W. K. Mość upoważniłaś mnie do tego, nawet w przypuszczeniu, że Anglia pozostanie neutralną; otóż dzisiaj staje się Anglia stroną czynną, a z nią Niderlandy i Hanower, co czyni położenie Francyi wspaniałem."

Trudno o lepszą od powyższej charakterystykę sytuacyi europejskiej w pierwszych dniach tyle pamiętnego roku 1815. Raz poczynała się wraz z odpowiedniemi do tego obustronnie przygotowaniami olbrzymia gra, znajdująca przez kilka tygodni przed zawarciem i po zawarciu konwencyi z 3 stycznia, swe przedwstępne symptomy w znaczącej podróży W. ks. Konstantego do Warszawy i w wydanej przezeń nie mniej znaczącej odezwie do wojska polskiego, we Wiedniu zaś samym o koncesyach połowicznej natury, jakie Prusy i Rosya poczęły czynić na rzecz niezależności Saksonii. Bogu wiadomo, jakieby się z podobnie naprężonej sytuacyi były wywiązały następstwa, jakieby z nich dla naszego kraju mianowicie były wyniknęły skutki, jakiego w razie wojny licytacyjnego targu bylibyśmy się stali przedmiotem. Tymczasem uderzył w tak pracowicie, umiejętnie i szczęśliwie zasnutą tkankę systemu polityki francuskiej powrót Napoleona z wyspy Elby. Nie przewidziany ten wypadek zagodził od razu wszelkie niesnaski kongresowych mocarstw, zjednoczył w jednem, wspólnem usiłowaniu powtórnego obalenia Napoleona, ocalił Rosyą i Prusy od bardzo groźnej i niebezpiecznej wojny, oszczędził ówczesnej Europie kosztem czterodniowych zapasów na równinach Belgii nierównie groźniejszego pożaru wojennego, któryby w sercu Europy był wybuchnął, a szerzył się i trwał, Bóg wie, jak daleko i jak długo. Z chwilą powrotu Napoleona z wyspy Elby, widzi naturalnie Talleyrand usuwający mu się grunt pod nogami we Wiedniu. Budowa jego polityczna kruszy się i rozpada, stanowisko staje się niemożliwem. Z początku, kiedy sukces Napoleona jeszcze wątpliwy, jest jeszcze reprezentant Francyi burbońskiej pełen otuchy i umie ją utrzymać w otoczeniu dyplomatów europejskich. Następnie przecież, gdy „orzeł Cesarski siada, według wyrażenia odezwy Napoleona z zatoki Juan, na wieżach Notre Dame paryskiej, by liliom Burbonów pozwolić więdnąć na obcym gruncie w Gandawie, — maleje i rola Talleyranda. Z reprezentanta wielkiego mocarstwa wychodzi na emigranta, a wszelkie usiłowania jego streszczają się odtąd, aby wobec objawiającej się pośród monarchów i dyplomacyi europejskiej we Wiedniu coraz więcej zimnoty dla Burbonów, aby wobec wyrzeczonej przez Cesarza Aleksandra myśli zastąpienia ich młodszą linią Orleanów, ocalić przynajmniej prawa monarsze starszej. Usiłowania te wieńczy pożądany skutek; areopag europejski, zgromadzony we Wiedniu, zgadza się wreszcie z pewnym chłodem na utrzymanie Burbonów, jako przyszłego rządu Francyi. Z czem za to Talleyrand równocześnie mniej szczęśliwy, to w pracy przekonywania bawiącego na wygnaniu gandawskiem dworu burbońskiego o potrzebie rozsądnej, zastosowanej do okoliczności polityki, a choćby tylko o konieczności redagowania oficyalnego ich organu, *Journal de Gand*, w praktycznem politycznie kierunku. Kończy się wreszcie jego stanowisko kongresowe wraz z rolą polityczną pod Burbonami wyjazdem do Gandowy w czerwcu 1815 r.

Niechaj nam jeszcze z epoki stu dni jako szczegół, nie mający bezpośredniego związku z działalnością polityczną Talleyranda, ale bezpośrednio nas dotyczący, będzie wolno przytoczyć w dosłownem brzmieniu dokument, poświadczający, jak dalece kongres wiedeński za odebraniem wiadomości o powrocie Napoleona z wyspy Elby był skwapliwym w dezorganizowaniu służących mu do powodzenia środków. „*Do pułkownika Jerzmanowskiego lub w razie jego nieobecności do zastępującego go oficera*. Na mocy rozkazu J. C. Wysokości W. księcia Konstantego, naczelnego dowódzcy wojsk polskich W. Księstwa Warszawskiego, posyłam panu następujący rozkaz, za odebraniem którego zechcesz bez wdawania się w rozmowę z kimkolwiekbądź, udać się do Warszawy z oddziałem polskim, który przyprowadziłeś z wyspy Elby i od-

bierać tamże dalsze rozkazy od generała dywizyi, hr. Wincentego Krasińskiego. Zakomunikujesz kopię tego rozkazu generałowi, pod którego komendą się znajdujesz, uprzedzając go, że J. C. Wysokość zaleciła ci, pod najsurowszą odpowiedzialnością osobistą, wypełnić ściśle i bezzwłocznie rozkaz tenże z chwilą jego odebrania. Dołączone tu rozkazy rządu francuskiego upoważniają cię do żądania marszruty u władzy kraju najbliższego miejsca, w którem się znajdujesz. Co się tyczy zapłaty twego oddziału i zaległości, jakieby mu się należały, udasz się piśmiennie do pułkownika Jankowskiego, w Paryżu, doręczając mu równocześnie imienną listę wraz ze wszystkiemi dowodami potrzebnemi i przepisanemi na tego rodzaju przypadek. Prześlesz również raport P. Tolińskiemu, naczelnikowi sztabu generalnego J. C. Mości W. ks. Konstantego, oznaczając mu dzień, kiedy ruszysz w pochód, etapy, jakie ci będą wskazane i opisując stan, w jakim się twój oddział znajduje. (Podp.). *Generał brygady, Krukowiecki.*" Rzeczą wiadomą, że rozkaz ten wykonanym i usłuchanym nie został, a że pułkownik Jerzmanowski pozostał w armii napoleońskiej, walczył pod Waterloo, a następnie, nie wracając już do Polski, osiadł we Francyi.

Po tym, obcym głównej rzeczy naszej epizodzie, kilka słów jeszcze tylko o dziele, z którego zdawaliśmy sprawę. Nie podobna zaprzeczyć obfitości mieszczącego się w niem materyału historyczno-politycznego; zawiera go nieporównanie więcej od pamiętników Metternicha, stanowi ważny przyczynek do dziejów kongresu wiedeńskiego. Co się tyczy samegoż jego autora czy bohatera, nie podobna równie zaprzeczyć, że wśród sytuacyi arcytrudnej, ze środkami niedomagającymi, umiał z niepospolitą zdolnością i zręcznością wybrnąć nietylko na suchy brzeg, ale co więcej, przywrócić zwyciężonej, zmalałej, zdepopularyzowanej na zewnątrz i wewnątrz pod restaurowaną dynastyą Francyi stanowisko i powagę pierwszorzędnego państwa europejskiego. Nie dość i na tem jeszcze: zdołał utworzyć koalicyę przeciw koalicyi, koalicyę, która miała dobyć miecza w celach, które wskazuje tak niedwuznacznie przytoczona wyżej rozmowa jego z lordem Castlereaghiem. Powrót Napoleona z wyspy Elby przekreślił jednym zamachem całą tą robotę. Zadał cios śmiertelny Talleyrandowi, jako mężowi stanu, bo nie pozwolił mu uświęcić jego roboty wieńczącem dziełem sukcesu; zadał nie mniej zgubny cios Francyi i jej znaczeniu europejskiemu; zniweczył wreszcie wielkie przedsięwzięcie, które się z jej inicyatywy i pod jej patronatem, a za współdziałaniem pięciu innych państw w sercu Europy z tak nieobliczonemi następstwami przygotowywała.

J. N.

KORESPONDENCYE PRAWDY.

Z PETERSBURGA.

(Dokończenie).

Bliższa znajomość Heleny z komuną kobiecą zaczęła się nazajutrz po jej poznaniu, kiedy się już przeniosła do niej, w charakterze nowego członka. Znajomość ta jednak nie wypadła na korzyść owego stowarzyszenia, a zdziwienie, lub niezadowolenie kolejno następowały po sobie w jej duszy. Kobiety, mieszkające tam, żyły wprawdzie samodzielnie, utrzymywały się własną pracą i uczęszczały na rozmaite odczyty publiczne, będące wówczas w wielkiej modzie; pomimo to jednak troska o chleb powszedni nie dawała im wcale swobody umysłu i przygnębiała ich moralnie do takiego stopnia, że często podnioślejsze strony życia znikały im z przed oczu, a drobiazgi powszednie i uprzedzenia wszelkiego rodzaju grały tu też samą rolę co i w każdem innem kółku towarzyskiem, z różnicą tylko bardziej poślednej i pozbawionej wszelkiej elegancyi formy. O pracy systematycznej dla własnego wykształcenia, lub dobra ogólnego nie podobna było nawet marzyć w takich, jak tu warunkach; to też Helena, pomimo to, iż dzięki staraniom doktora dość łatwo dostała miejsce w kantorze pewnego przemysłowca, nie mogła się zadowolić życiem, które sobie stworzyła, czując dobrze, że jej potrzeba takiej pracy, takiej sprawy, którejby mogłaby się oddać cała, wszystkiemi siłami swego ducha. Wypowiadała to ona nieraz doktorowi Pojarkowowi, uważając go za jedynego człowieka w swem otoczeniu, który był zdolny odczuwać te same walki i porywy i tak samo jak ona wszystko gotów był poświęcić dla celu, świecącego gdzieś w oddali. Doktor stawał się dla niej uosobieniem najczystszem „człowieka nowego," bez wszystkich tych cech przykrych, które raziły jej dobre wychowanie i smak estetyczny w innych typach pseudo-nowych ludzi. Zapał Heleny, z którym jej było bardzo do twarzy, zachwyca go chwilowo, nie zdolny był jednak poruszyć głębiej rozumnego — ale przedewszystkiem praktycznego i egoistycznego doktora. Ukrywając starannie ostatnie te cechy swego charakteru przed wzrokiem niedoświadczonej dziewczyny, stał się rzeczywistym przewodnikiem jej w nowem życiu, znajomiąc ją z rozmaitemi jego stronami, towarzysząc na zebrania stowarzyszeń zaliczkowych, na których czele stały damy arystokratyczne, członkami zaś byli mężczyźni i kobiety, należący po większej części do proletaryatu umysłowego, *bohemii* literackiej, młodzieży nihilistycznej wszelkiego rodzaju. Nieład tych zebrań, krzycząca różnica zdań, upor bezmyślny i nieustanne upatrywanie eksploatacyi (słowa naówczas modnego) tam nawet, gdzie ani śladu jej nie było, raziły często Helenę, ale uczyła się od doktora nie być za nadto wymagającą względem tych „pionierów, którzy rozwinęli namioty swoje wśród nowoodkrytej pustyni." Walka i niezadowolenie wewnętrzne trapiły ciągle Helenę, w nadziei jednak lepszej przyszłości i nowego kierunku życia, trwała przy swojem, tembardziej, że nowe uczucie ku młodemu doktorowi napełniało pierwszy raz jej serce; z jego to pomocą marzyła ona o zdobywaniu szczęścia dla cierpiącej ludzkości, nie wątpiąc, że nie pomyśli wcale wyrzec się Petersburga, praktyki, stosunków, nauki nawet teoretycznej, i osiedlić się w głuchej wsi jakiej — wśród włościan. Myśl o włościanach, pod wpływem usposobienia ogółu i wprowadzanej przez rząd reformy, gościła coraz częściej w jej głowie; życie ich zajmowało ją coraz to bardziej i zaczęła ona rozumieć, że tam na wsi prawdziwa praca, tam cel jej życia, ale nie w stolicy, gdzie siły idą na marne. Kwestya uwłaszczenia była wówczas na dobie, nikt nie wiedział jeszcze napewno, w jaki sposób będzie ona urzeczywistnioną, o ile więc nadziei i radości było w jednej połowie społeczeństwa — o tyle obawy i rozpaczy prawie w drugiej. Helena zastanawiając się nad stosunkami majątkowymi swojej rodziny, usposobieniem ojca, człowieka dawnej daty i dorastającego brata, z niepokojem prawdziwym myślała o tem, jaki charakter przyjmie to uwłaszczenie w ich majątku. Z drugiej zaś strony wiedziała, że milutka i dobra kuzynka jej Liza miała wszelkie prawa do głównego ich majątku ziemskiego, jakkolwiek prawie z trudnością można było tego dowieść. Dowody jednak zawierające się w listach, znajdowały się w ręku jednego z sąsiadów, na którego pomoc Helena mogła zawsze liczyć. Opuszczając dom rodziców, Helena, w liściku do ojca pisała, że w takim tylko razie powróci do domu, jeżeli on wypłaci Lizie sumę, odpowiadającą cenie majątku. Wiedziała ona, że jej krok stanowczy zmusi ojca do ustępstwa, okupującego powrót najukochańszej córki. Czekała więc, pozostawiając mu czas potrzebny na zebranie tak znacznej sumy. Teraz jednak, przejęta całkiem myślą uwłaszczenia, marzy o innej kombinacyi — a mianowicie o oddaniu nie już kapitału, lecz samego majątku w ręce Lizy i jej narzeczonego, owego sąsiada Arbelina, pewna, że przy nich reforma pójdzie najlepiej. Tymczasem nastąpiła jesień, a z nią jak zwykle powrót rodziny jej do Petersburga. Kuzynka Liza pierwsza przyszła ją odwiedzić, wystawiając jej smutny stan opuszczonego i chorego ojca i błagając o powrót. Helena mówi jej o swych planach i nowych warunkach, dowiadując się nawzajem, że pomimo to, iż ojciec stara się wszędzie o pożyczenie kapitału dla wypłacenia siostrzenicy — dotąd jednak mu się to nie udaje, dzięki temu, że czas przejściowy zachwiał wszędzie kredyt właścicieli ziemskich, przyszła wartość majątków jest bardzo nieokreślona. Narzeczony Lizy, Arbelin, potwierdza wszystkie jej słowa, namawiając ją zarazem do powrotu do domu. Tymczasem plany Heleny nabierają prawdopodobieństwa w sposób bynajmniej niespodziewany. Przemysłowiec, w którego kantorze pracuje młoda panienka, jest także typem nowym: „młody kupczyk, elegant, wieczorem marzący o rozmaitych utopiach i emancypacyach, ranki zaś spędzający na zręcznem załatwianiu ojcowskich interesów." Otóż serce tego milionera uległo także czarującemu wpływowi Heleny, ale nie odważa się napomknąć jej o tem, wiedząc od swego znajomego, doktora Pojarkowa, o uczuciu łączącem z sobą dwoje młodych ludzi. Poznał on dobrze Pojarkowa i zapytany o niego, przez przyjaciela swego Arbelina, nie zbyt pochlebnie, choćaż bezstronnie kreśli jego charakter. Od Arbelina też dowiaduje się o stosunkach rodzinnych Heleny jak również i jej marzeniach.

Zakochany milioner decyduje się pożyczyć ojcu sumę żądaną, a nawet znacznie przewyższającą wartość majątku, pod warunkiem, że wsie mają przejść w jego ręce, jeżeli kapitał nie zostanie wypłacony w ciągu roku. Stary, wierzący zawsze w świetny los rozmaitych spekulacyj, z radością wielką pożycza, nie wiedząc nic o znajomości kupca z jego córką, ta zaś ostatnia, dowiedziawszy się o całej sprawie od Arbelina i samego przemysłowca, przyklaskuje mu z całego serca. Nie znając wcale motywów jego rzeczywistych, wierzy, że powoduje się on tylko dobrze zrozumianym interesem przemysłowym, również jak i dążnościami liberalnemi, które zniewalają go do darowania ziemi włościanom, założenia szkoły, szpitala etc. Człowiek ten, w gruncie dobrego serca a głównie zaś zakochany, proponuje jej samej zająć się zczasem na miejscu urzeczywistnieniem tych planów, w pewnej nadziei, że ojciec nigdy nie będzie w stanie zapłacić sumy zastawowej po roku; tymczasem zaś Helena, zgadza się na powrót do rodziny, kiedy ojciec, nic nie wiedząc o planach późniejszych, płaci siostrzenicy sumę należną, według pierwotnej umowy. Helena, znalazłszy się znowu w kółku domowem, czuje się dobrze i wesoło, tem bardziej, że ukochany jej Pojarkow jest przyjętym przez ojca jako jej narzeczony i nawet dzień ślubu już wyznaczony wraz ze ślubem kuzynki i starszej siostry. Zaufanie jej jednak bez granic dla tego człowieka okoliczności wystawiają na dość poważne próby; dowiaduje się ona o pewnej młodej panience, należącej także do liczby istot porwanych przez nowe prądy życia, ukochanej nirgdyś Pojarkowa, którą później opuścił, pomimo jej najgorętszej miłości. dla tego, że zaczynała więdnąć po śmierci dziecka, która go, przeciwnie, wca-

le nie zdawała się smucić; nie kochając jej jednak, nie przestawał już później podtrzymywać i drażnić jej uczucia. Nieszlachetne to postępowanie oburzyło Helenę, a tłomaczenie się narzeczonego nie zadowoliło jej wcale; zaznajamia się ona z tą nieszczęśliwą istotą, która się uważała za żonę Pojarkowa i długo oczekiwała spełnienia obietnicy co do połączenia się z nią ślubem. *Wątpliwość zakrada się w jej serce, ale miłość*, trwająca w niem zawsze, toczy z nią zawziętą walkę; stara się ona przekonać, że jej wybrany godzien jest tego wyboru i wraz z nią pójdzie po tej drodze życia, którą jedynie uważa za prawą. Nowe fakta jednak wystawiają go znowu w bardzo niekorzystnem świetle—pod innymi już względami, i odmawia on współudziału w sprawie, której ofiarą padł ojciec jego, w sprawie udzielania pomocy wygnańcom; fakt ten i pobudki jego, stanowczo składają się w jej oczach na wyrok dla niego, który przyśpiesza jeszcze tragiczna śmierć szalonej Wariuszy, owej nieszczęśliwej kochanki jego, (wyskakującej z 4-go piętra ku wielkiemu zdziwieniu rodziny, niewiedzącej o tych okolicznościach, z wyjątkiem kuzynki). Rozstaje się ona z narzeczonym i na ślubie Lizy i siostry wygląda raczej jako trup chodzący, aniżeli jako panna młoda. Na wiosnę znowu rodzina cała wyjeżdża na wieś; nadzieje ojca na wybory i urzędy spełzły na niczem, ścięty powiewem nowego wiatru, walczy z nim bezsilnie, z rozpaczą chwytając się każdego kawałka odmierzanej włościanom ziemi za najmniejsze ustępstwo. Helena, pielęgnując chorego ojca, z trudnością stara się go wytłomaczyć i przebaczyć mu tę marną walkę. Nakoniec choroba przywała go ostatecznie i złamany starzec — umiera.

Termin zakładu minął dawno i majątek przeszedł w ręce bogatego przemysłowca; Helena w roli plenipotentki właściciela, mieszkającego w Petersburgu, oddała się duszą całą ukochanej sprawie, włościanom darowano grunta, we dworze co rana schodziły się dzieci wiejskie, uczyć się pod kierunkiem nauczyciela i nauczycielki, sprowadzonych przez Helenę. Ona sama mieszkała tam także wraz z siostrą i całe kółko młode było szczęśliwe, z zapałem oddając się pracy, i z miłością śledząc za jej rezultatami.

Nie wszędzie uwłaszczenie poszło tym samym trybem, wyjątkami obywatele tylko darowywali grunta, wszędzie zaś, jak wiadomo, włościanie obowiązani byli płacić za nie skarbowi. Obowiązek ten z trudnością wielką mieścił się w głowie włościanom i często prowadzili oni z komisarzami, (naprzykład z Arbelinem) takiego rodzaju rozmowy: „za ziemię płacimy, tak samo jak ojcowie i dziadowie nasi od wieków płacili, Cesarzowi pogłówne (poduszne), z jakiegoż to powodu stała się ona teraz waszą (obywatelską) i po co mamy jeszcze ją wykupywać?

— Nie, przyjaciele moi, płaciliście nie za ziemię, ale za duszę.

— E, panie, czy dusza nasza cokolwiek warta?

— Zapewne że warta, jeżeli ją kupowano. Włościanin odchrząknął.

— Prawda, Aleksieju Piotrowiczu, że kupowano, toć i dyabeł, powiadają, kupuje, ale teraz niewola ta z nas już zdjęta, swobodę dano, przecież dano — wszak prawda, jak panu się zdaje?... chcesz nas pan oszukać, nie tak postępujesz jakby się należało...“

Komisarze upadali pod ciężarem rozmaitych pretensyj — włościanie nie wiedzieli często, czego im było potrzeba, z drugiej zaś strony obywatele najniesprawiedliwsze często stawiali żądania w obec ludzi, którzy według ich zdania powinni byli, będąc sami obywatelami, podtrzymywać i sprowadzać de facto całą reformę do zera.

Niedługo jednak małe kółko wiejskie, którego ognisko stanowiła Helena, mogło swobodnie się rozwijać. Tysiączne insynuacye i plotki pozbawione najmniejszej podstawy zagroziły im z różnych stron; władze miejscowe patrzyły podejrzliwem okiem, aż zawiał wiatr złowrogi, porwał z sobą nie wiadomo dokąd doktora, później nauczycielka gdzieś znikła — aż w końcu zmiótł on wszystko; dwór stanął pustką, nie słychać już w nim było dziecinnych głosów, nie widać młodych pracowników! Helena przeniosła się do kuzynki Lizy. Przykro jej było pędzić życie bezczynne, w ciszy wiejskiej, marzyła znowu o życiu innem, chciało się jej rozszerzyć własny horyzont umysłowy, po smutnych próbach pracy dla „młodszych braci.“

Pewnego dnia tarantas pocztowy zatrzymał się przed gankiem, z niego wyskoczył petersburski znajomy, dobrodziej i właściciel wsi — ów przemysłowiec Skrypaczew. Helena przyjęła go serdecznie, bardzo byli radzi szwagier i kuzynka, sprzymierzeni młodego kupca, zakochanego w Helenie. Nadzieja zaczynała wstępować w ich serca, doktor, zdawało się, na wpół już był zapomniany, wspaniałomyślność fabrykanta zjednała mu przyjaźń młodej panienki. Należało tylko postępować z nią bardzo politycznie, tak żeby w żadnym razie nie mogła się domyśleć, iż główna pobudka tej wspaniałomyślności była czysto osobistego charakteru, że chęć podobania się jej i pozyskania jej wdzięczności zniewoliła go do tak pięknego zachowania się. Tymczasem zwykła zręczność Lizy zawiodła ją podczas pewnej rozmowy z Heleną; zasłona spada z jej oczu — i cała bezinteresowność przemysłowca zupełnie inne przybiera w jej oczach barwy. Wypowiada to ona biednemu zakochanemu, zachowującemu się jednak bardzo delikatnie — i ostatecznie postanawia jechać do Zurichu — zdobywać tam wiedzę.

Szwagier, któremu się zwierza, rozstając się z nią na dworcu kolei, stara się ostrzedz ją przed niebezpieczeństwem zetknięcia się zbyt ścisłego z kółkami politycznemi, których działalności naprowadza tak częste prześladowania i pozbawia kraj inteligencyi:

— „Proszę się zastanowić — do czego doprowadzą te klęski naszą biedną, rzadko rozsianą, zaledwie wyglądającą z nawpół zmarłej ziemi inteligencyą. Znalazłszy się pomiędzy ludem, który jeszcze nie umie jej ocenić, gdyż dotychczas nic ona jemu nie dała, a mechanizmem kancelaryjnym, uważającym ją, jak wszystko co żywiej oddycha za swego przyrodzonego wroga, zostanie ona startą na miazgę, zduszoną i Rosya, silna materyalnie, będzie skazaną na wieczne dzieciństwo moralne. Tegoż to powinniśmy życzyć?“

Na tem kończy się powieść, pozostawiając dalsze losy Heleny domyślności czytelka, który żyje już w innych czasach i widzi niemało klęsk takich, o jakich mówi Arbelin. Może z takiej Heleny wyrobi się tylko zapalona miłośniczka nauki, doktor naprzykład w rodzaju pani Susłowowej, może zaś Wiera Zasulicz lub Perowska.

R.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki, skreślił *Jan Finkelhaus*. Warszawa, 1881.

Na trzy główne działy daje się podzielić cała literatura podróżopisarska; pierwszy obejmuje dzieła traktujące naukowo a specyalnie pewne gałęzie wiedzy, a więc opisy fauny i flory, klimatu i warunków rozwoju; drugi, reprezentowany najliczniej przez dzieła misyonarzy, zawiera opisy etnograficzne i etnologiczne, służące jako materyał ściśle naukowy, wreszcie trzeci—odzwierciadlający wrażenia turysty i łączący w sobie wskazówki przewodnika dla przyszłych turystów. Każdy z tych działów ma swe znaczenie w literaturze, tak naukowej jako też lżejszej, służącej gwoli zabawy i miłego przepędzenia czasu.

Książka p. Finkelhausa, biorąc ściśle, nie dałaby się zaliczyć do żadnego z tych działów; wprawdzie sądząc z tytułu, autor kreśli ją pod wrażeniem pobytu w Algierze i Tunisie i osobiste swe poglądy i przeżyte zdarzenia szereguje w jeden obraz. Atoli brakuje tej książce prawdy; wiele ustępów, należących nawskróś do świata fantazyi miesza się z odniesionemi wrażeniami — tak, że odróżnienie prawdy od utworów wyobraźni staje się prawie niemożliwem, brakuje zaś zupełnie nitki przewodnika, a odczytawszy uważnie książkę p. Finkelhausa nie dowiemy się żadnych praktycznych wskazówek.

Obrazki p. Finkelhausa zaliczamy do literatury powieściowej, tak bowiem treścią, jako też formą najbardziej są zbliżone do tego rodzaju utworów, których przedmiotem jest pogawędka w kole znajomych o doznanych wrażeniach i przebytych przygodach, bez pretensyi do nauczania słuchacza a z dość silną dozą bujnej wyobraźni.

Podobne utwory muszą nieodzownie posiadać zaletę zainteresowania i utrzymania w ciekawości czytelnika, sam narrator musi, chcąc nie chcąc, zostać bohaterem opowieści, około jego osoby powinien się skupić interes czytelnika, którego oprowadza po nieznanych krainach. To też i książkę p. F. będziemy jedynie z tego punktu widzenia oceniali, bowiem ze względu na treść nie należy ona do żadnego z trzech działów literatury podróżopisarskiej, o których poprzednio pisaliśmy.

W r. 1878. podczas pobytu w Paryżu, zapoznał się p. F. z dr. Landowskim, założycielem stacyi zimowej dla chorych w Algierze i prawie bez namysłu dał się nakłonić do zwiedzenia Algieru, którym autor zachwyca się, kreśląc swe słowa stylem zmarłego Kremera. Promienie, tkanki, motylki, zieloność, kwiaty i skały—wszystko jest cudownie pięknem w oczach naszego turysty; sama nawet natura jest tak uprzejmą, że chcąc się ukazać podróżnikowi w godowych szatach obmywa swe oblicze przynajmniej raz a często dwa razy dziennie — a czyni to mniej więcej do połowy książki, co tem bardziej nas zadziwia, że autor na innem miejscu informuje czytelnika, iż deszcz jest rzadkim gościem w północnej Afryce, gdyż pada tylko 95 razy do roku i w dodatku nie dłużej nad jednę lub dwie godziny (str. 43).

Tam gdzie autor porusza się na gruncie francuskim, jest w otoczeniu kolonistów lub kreśli rozmowy z arabami, mówiącymi z kiepska po francusku — tam jest p. F. swobodnym i naturalnym, a chociaż tu i owdzie widnieje przesada, zwłaszcza w rozmowach z paniami, ustępy te czyta się z łatwością a nawet przyjemnie, lecz w chwili, gdy autor wstępuje w krainy materyalne a tembardziej umysłowe arabów-kabylów, staja się napuszystym, werwa deklamatorska ogarnia go nawskróś, zamiast uczucia spotykamy sentymentalizm, a zamiast obrazowości wschodniej, nieprawdopodobne dytyramby. Dziwnem się to wydaje, gdyż p. F. posiada bezstronny pogląd, potrafi nader zgrabnie i pełne finezyi aluzye łączyć z opowieścią afrykańską, a jednak dość kilku arabskich meżów a jeszcze bardziej kobiet, by wszystkie te zalety ulotniły się, a pozostała jedynie ckliwa deklamacya, której szczytem są słowa nakreślone do albumu córki Kaida (str. 131) i niemal cały rozdział, zatytułowany: *Rozstanie* (str. 167).

P. F. poszedł widocznie śladem francuskich i po części niemieckich podróżopisarzy, którzy napuszystym stylem starają się wschodnim krajom nadać koloryt miejscowy, łącząc pojęcie ludów wschodnich z ognistemi i wytwornemi poezyami arabów, persów, żydów etc. Rzecz dziwna jednak, że angielscy pisarze n. p. Huxley i inni, mimo, że szczegółowo opisują Arabię, Syryę i inne kraje zamieszkałe przez wschodnie ludy nigdy nie używają parabolicznych, górnolotnych przenośni, rzadko kiedy kładą w usta wyznawcom Mahometa słowa Koranu, jednem słowem malują nam ludzi z krwi i ciała, o niższym względnie do nas stopniu cywilizacyi — a jednak fotografują i kraj i ludzi.

Rozdziały *Z życia ajadów, Selin i Zohra* i kilka pomniejszych ustępów naśladują opowieści *Z tysiąca i jednej nocy*; autor umiał je owiać poezyą i udramatyzować.

Usterki powyżej wskazane mają swe źródło po części w nieznajomości języka arabskiego. Przedstawmy sobie n. p. Wiktora Tissota, nieumiejącego słowa po polsku i rozmawiającego z góralem tatrzańskim albo huculem; czy przy najlepszych chęciach turysty i tłomacza odkryje nasz chłop swe troski, bóle, radości i, nadzieje; czy zwierzy się z swych wrażeń i snów? Jeśli nasz chłop tak postępuje, to cóż dopiero arab nienawidzący, jak sam p. F. często wspomina, wszystkich cudzoziemców; a jednak przed autorem arabowie zwierzają się ze swych tajników; co do nas. wogóle nie wierzymy w te spowiedzi po jedno lub kilko godzinnej znajomości.

Dawniejszymi czasy pisma humorystyczne uważały za swój punkt honoru wyśmiewać i przedrzeźniać archeologów i archeologię, nie mogli bowiem ci uczeni mężowie zrozumieć i ocenić znaczenia wykopalisk i studyów archeologicznych dla historyi cywilizacyi; — głosy te po znakomitych pracach angielskich i niemieckich uczonych przycichły, a nawet ustały zupełnie, odrodziły się i zmartwychpowstały jednak w książcep. F., który z dziwną zaciekłością szuka dowcipu wśród ruin i gruzów i dosiada z ochotą konika anti-archeologicznego, by kilkoma mniej lub więcej zręcznemi frazesami pokryć nieznajomość przedmiotu.

Język autora nie zawsze jest wolny od błędów n. p. radość *wybitniała* wszędzie (str. 154); znów *gołe* milczenie (292), mylne użycie zaimka *sobie* spotkaliśmy kilka razy (n. p. str. 13).

Jeśli p. F. pozbędzie się zbytecznej fantazyi, bardziej ukocha prawdę i zechce nam dać wierny opis podróży i kraju, na który będzie spoglądał okiem polaka — nie wątpimy, że przy nabytej już technice pisarskiej da nam rzecz godną jego talentu.

A. G.

W PERSPEKTYWIE.

Z powodu zamieszczonego w Nr. 30 *Prawdy* artykułu o pełnomocnikach gminnych odebraliśmy pismo od „jednego z wieśniaków“ zwracające uwagę na przeszkody jakie ich ustanowienie ze strony władz gminnych spotyka. Korespondent cytuje fakty, że w jednej gminie pełnomocnicy raz tylko dopuszczeni byli do sprawdzenia rachunków, że w innej wcale do swych obowiązków przez pisarza wezwani nie zostali. Konkluduje autor listu, że dla zabezpieczenia należytego korzystania z praw, należałoby przedewszystkiem „zmienić“ pisarzów gminnych.

Nam się zdaje, że argumenty szanownego korespondenta nie są tak silne za jakie je przedstawia, i że na zapytanie, co tacy pełnomocnicy zrobić mogą, odpowiedź nie jest tak trudna. Zanadto dobrze znamy stosunki wiejskie, żebyśmy mieli nie uznawać trudności, jakie każde niemal usiłowanie pracy obywatelskiej napotyka. Wiemy jednak również, że przeszkody te nie są tak znów silne, żeby aż w obec nich ręce opuszczać należało. Nie przeczymy, że w pierwszych chwilach pełnomocników gminnych spotka niejedna nieprzyjemność i utrudnienie w należytem funkcyonowaniu. Lecz trzeba się na nie zaryzykować i znosić jak rzecz, na którą się jest przygotowanym, a z czasem sprawy się zmienią. Sądzimy, że pełnomocnicy energiczni potrafiliby zmusić kogo należy, żeby ich więcej niż jeden raz dopuszczano do sprawdzenia rachunków, a tembardziej upomnieć się o wezwanie należyte do wykonywania z prawa im należnych czynności. Szanowny korespondent stawia jako warunek porządnego funkcyonowania spraw gminnych zmianę pisarzów. Jeżeli idzie tu o usunięcie całkowite tej instytucyi, to jest to nie możliwe, boć przecie ktoś czynności pisarzów wykonywać musi czy pod tą nazwą czy pod inną.

Jeżeli znów mowa jest o zmianie osobistości to zdaje nam się, że pełnomocnicy gminni, zyskawszy sobie poważanie i zaufanie ogółu, mogliby stanowczy wywrzeć wpływ na wybór osób na te stanowiska. Przedewszystkiem jednak trzeba sobie jak wszędzie i we wszystkiem znaczenie i powagę *wywalczyć*. W każdym razie uważamy sobie za obowiązek wskazywać ogółowi wszystkie prawa, jakie mu służą, choćby nawet wykonanie ich ze stokroć większemi połączone było trudnościami. Można nie wszystkiemu podołać, lecz nie wolno nie wiedzieć co nam wolno, i o co dopominać się mamy prawo. Tą tylko drogą dochodzi się do wszechstromego rozwoju.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 22 września.

Wypadkiem chwili obecnej jest śmierć prezydenta Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki. Wiadomość ta, przyniesiona do Europy, tem boleśniejszem odbiła się echem, że biuletyny o zdrowiu Garfielda poważne nasuwały nadzieje. Nie potrzeba dowodzić, jak sympatyczną postacią był zmarły prezydent Stanów Zjednoczonych, człowiek, który o własnych siłach z najniższego stanowiska potrafił dobić się do steru władzy państwa. Jaką opinią cieszył się Garfield w Europie dowodzą przychylne a obszerne wzmianki, pomieszczone we wszystkich organach europejskiej prasy.

Dla Ameryki śmierć prezydenta jest dotkliwą stratą, już z tego powodu, że na jego miejsce wstępuje obecny wice-prezydent, sir Arthur, reprezentant tej partyi politycznej, której ofiarą padł Garfield. W myśl bowiem konstytucyi amerykańskiej, w razie śmierci prezydenta do końca trzechlecia sprawami kraju zarządza w tym celu wybierany wice-prezydent. A ponieważ partya, traktująca urzędy publiczne jako pole dogodnego wyzysku, potrafiła na to właśnie stanowisko wprowadzić swego reprezentanta w osobie sir Arthura, przeto w jej ręku spocznie obecnie ster kraju. Wprawdzie śmierć Garfielda wywołała powszechne oburzenie przeciwko tym właśnie ludziom, nie przeszkodzi to wszelako sir Arthurowi do obsadzenia posad ludźmi, którzy niecnych czynów swoich nie tają.

Opinia publiczna we Francyi wzburzoną jest z powodu sposobu prowadzenia kampanii afrykańskiej. Do powszechniego niezadowolenia przyczyniło się postanowienie zatrzymania rekrutów z 1876 r. dla dopełnienia niemi batalionów, w skład armii afrykańskiej wchodzących. Postanowienie to sprzeczne jest z tem, co w czasie wyborów głosili prefekci. Obiecywali oni mianowicie rozpuszczenie powołanych natychmiast po ukończeniu manewrów. Co więcej, dla uspokojenia opinii a raczej dla ułatwienia republikańskich kandydatur, wstrzymano w czasie wyborów wysyłkę wojsk do Tunisu, pomimo rozpaczliwego wołania o pomoc komenderujących tam generałów. Tak więc dla stronniczych celów poświęcono zorganizowaną armią i prawdziwe interesa narodu.

Stanowisko też p. Farre, obecnego ministra wojny, jest całkowicie zachwianem. Jeżeli utrzymuje się on jeszcze na stanowisku, to dzieje się to w skutek tego, że nikt ze zdolniejszych wojskowych nie ubiega się o spuściznę po nim. Położenie bowiem jest trudne, odpowiedzialność wielka.

Zamiast zmobilizować część armii, p. Farre postanowił wysłać do Afryki czwarte bataliony, w skutek czego cała armia francuska z wyjątkiem zaledwie czterdziestu pułków zaangażowaną jest w Afryce. Z tego powodu dokompletowanie korpusu ekspedycyjnego jest trudne i równie wiele czasu wymaga co i zgromadzenie go pierwotne.

Bil irlandzki Gladstona nie sprawił spodziewanego skutku. Na ostatnim posiedzeniu reprezentantów ligi, odbytem pod przewodnictwem Parnella, postanowiono trwać w oporze, domagając się całkowitego zniesienia opłaty czynszów, czyli bezwarunkowego wydziedziczenia lordów-właścicieli. Zebranie to reprezentantów ligi podniecane było formalnie telegramami z Ameryki, obiecującymi nieograniczoną pomoc materyalną w zamian za wytrwałość w oporze i domaganie się praw, należnych ludności irlandzkiej. Składki też w Ameryce kolosalne przybierają rozmiary, a Anglia w kwestyi irlandzkiej wobec coraz groźniejszego staje nieprzyjaciela.

Tym kłopotom wewnętrznym przypisać należy, że kwestya egipska na teraz rozwiązania się nie doczeka. Anglia widocznie nie czuje się na siłach, potrzebnych do wyzyskania sprzyjających okoliczności.

Podobno też Turcyi uczyniono bardzo łudzące obietnice poparcia dla zajęcia w kwestyi egipskiej wybitnego stanowiska. Obietnice te wyszły od jednego z mocarstw, ubiegających się od lat wielu o ustalenie swego wpływu w Konstantynopolu.

Grecya zajęła już terytorya, przyznane jej od Turcyi. Okupacya odbyła się spokojnie przy nieopisanym entuzyazmie miejscowej ludności. Usiłowania Turcyi, skierowane są ku zaludnieniu pozostałego jej wybrzeża w Epirze. Zaprojektowano nawet budowę miast nowych. Projekt ten byłby bardzo szczęśliwym, gdyby uwzględniał smutny stan finansów tureckich, o który to szkopuł wszystkie plany reformy w Turcyi zazwyczaj się rozbijają.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W Królestwie i Cesarstwie daje się czuć dotkliwie brak miejsc dla uczniów w różnych zakładach naukowych.

— Sekta baptystów w guberniach nadbałtyckich zyskuje coraz więcej zwolenników między łotyszami.

— Emigracya żydów z Rosyi trwa ciągle; niedawno przez Brody wyjechało do Ameryki 135 żydów rosyjskich.

— W guberniach litewskich i ukraińskich, w miejscowościach zamieszkałych przeważnie przez żydów

uorganizowane zostały specyalne komisye dla zbadania środków, mających na celu uregulowanie stosunków żydowskich na drodze prawodawczej.

— Komisya petersburska dla obmyślenia środków przeciwko pijaństwu rozpoczęła już swe posiedzenia.

— W gub. Mińskiej liczba tak zwanych roskolników bezpopowców wzrasta nieustannie.

— Mają się odbyć dwa kogresy wolnomyślicieli, jeden w Paryżu od 18—22, drugi w Londynie od 25—29 września.

— Ministeryum sprawiedliwości opracowuje projekt reformy sądownictwa gminnego w Królestwie Polskiem.

— Projekt nowego domu obłąkanych we wsi Tuwskach pod Pruszkowem otrzymał zatwierdzenie rządu.

— Dyrektorzy teatrów w Konstantynopolu podali prośby przez dyrektora policyi do sułtana o pozwolenie uczęszczania kobietom do teatru; prośba pozostawioną została bez skutku.

— Z powodu częstego zadawania sobie kalectwa przez żydów, w celu uwolnienia się od służby wojskowej, wydano rozporzędzenie, aby ich pomimo kalectwa wcielać do służby niefrontowej.

Szkoły i uniwersytety. P. Gregorowicz wykładać będzie jako prywatdocent w uniwersytecie warszawskim część procedury karnej *O wykonywaniu kar*.

— Akt uroczysty w uniwersytecie warszawskim odbył się w d. 11 września. Odczytano doroczne sprawozdanie i wymieniono nazwiska studentów nagrodzonych medalami i pochlebnemi wzmiankami za prace konkursowe. Wykłady w tutejszym uniwersytecie rozpoczęły się 17 września.

— W drugiem gimnazyum w Odessie mianowany został jedyny obecnie urzędowy nauczyciel religii karaimskiej p. Kokej.

— Opłata od pensyonarzy w warszawskim Instytucie dla głuchoniemych, podniesioną została obecnie z rs. 150 na rs. 200.

— Katedrę chemii w uniwersytecie warszawskim po zmarłym profesorze Popowie obejmuje p. Sokołow.

Przemysł i handel. Na zgromadzeniu ogólnem drogi żelaznej Iwangrodzko-Dąbrowskiej wybrani zostali do zarządu: pp. Wielopolski, J. G. Bloch, Rau, Aleksander Goldstand i Stanisław Karski, na zastępców pp. August Ostrowski, Rodryg Potocki i Władysław Laski.

— Budowa kanału, mającego połączyć morze Baltyckie z Północnem została, ostatecznie postanowioną. Kanał połączy ujście rzeki Elby z zatoką, nad którą leży m. Kiel.

— W Dorpacie otwartą została druga wystawa przemysłowa z bogatym działem naukowym.

Rolnictwo i ogrodnictwo. Na wystawę ogrodniczą zapisała się już znaczna ilość wystawców, bo blisko 200.

Literatura polska. *Gazeta sądowa* warszawska rozszerza swój program. Pomieszczać będzie prace prawno-historyczne i życiorysy znakomitych prawników.

— *Biblioteka najcelniejszych utworów* literatury europejskiej za m. sierpień zawiera: „Dzieje literatury powszechnej," „Uskoki" powieść Jeża, „Francya przed rewolucyą" Taine'a, „Komedye wybrane" Lope de Vegi i „Pieśń o Nibelungach."

— *Encyklopedyi wychowawczej* wyszedł zeszyt 8-my tomu II-go i zawiera wyrazy od „Bibliografii pedagogicznej" do „Borawskiego Leona."

Literatura niemiecka. Denk. *Die Fabrikation der Flocken- und Perlstoffe*.

— Dürre. *Die Anlage und der Betrieb der Eisenhütten*.

— *Forschungen auf dem Gebiete Agrikulturphysik*.

— Frauenholz. *Das Wasser* mit Bezug auf wissenschaftliche Aufgaben der Gegenwart.

— Jarolimek. *Gesteins-Drehbohrmaschine*.

— Knaebel. *Handbuch für Fabrik und gewerbliche Baukunde*.

— Lauche. Deutsche *Pomologie*.

— Reiche. *Die Untersuchungen an Dampfmaschinen und Dampfkesseln*.

— Thaer. *Die landwirthschaftlichen Unkräutern*.

— Wirth. *Die Krisis in der Landwirthschaft* und Mittel zur Abhülfe.

— Zetzsche. *Handbuch der elektrischen Telegraphie*.

— *Abhandlungen* der mathematisch-physikalischen Classe der k. bayerischen Akademie der Wissenschaften.

— Buchner *Ferdinand Freiligrath*, ein Dichterleben.

— Scherer. *Geschichte der deutschen Literatur*.

— Schreyer. *Goethes Faust* als einheitliche Dichtung erläutert.

— Wiskowatow. *Gechichte der russischen Literatur*.

— Cless. *Das Ideal der Menschheit*.

— Zahn. *Die natürliche Moral*.

— Warnstorff. *Die europäischen Torfmoose*.

— Arlt. Klinische Darstellung der *Krankheiten des Auges*.

— Beitraege zur *Naturgeschichte der Vorzeit*.

— Scheffler. *Die Naturgesetze* und ihr Zusammenhang mit den Prinzipien der abstrakten Wissenschaften.

— Thierfelder. *Atlas der pathologischen Histologie*.

— Vogt. *Der alte und der neue Impfglaube*.

— Stoepel. *Die freie Gesellschaft*. Versuch einer Schlichtung des Streites zwischen Individualismus und Socialismus.

— Walcker. *Die Arbeiterfrage* mit besonderer Berücksichtigung der deutschen Hewerbevereine.

— Warneck. *Das Prinzip der politischen Gleichberechtigung* und die modernen Emancipationsfragen.

— Arendt. *Technik der Experimentalchemie*.

— Bronn. *Klassen und Ordungen des Thier-Reichs, wissenschaftlich dargestellt*.

— Brügger. Beobachtungen über wildwachsende *Pflanzenbastarde*.

— Franke. *Die Reptilien und Amphibien* Deutschlands.

— Heppe-Seyler. *Physiologische Chemie*.

— Tilling. Von dem Rechte und dem Werthe der *Gymnasialbildung*.

— Bluntschli. *Gesammelte kleine Schriften*.

— Ephren. *Vier Zeitfragen* in neuer Behandlung.

— *Staats- und socialwissenschaftliche Forschungen*, herausgegeben von G. Schmoller.

— Stein. *Die drei Fragen des Grundbesitzes und seiner Zukunft*.

— Bergmann. Die Anwendung der Milchsäure bei *Geisteskrankheiten*.

— *Deutsche Chirurgie* mit zahlreichen Holzschnitten.

— Eichhorst. Lehrbuch der physikalischen *Untersuchungsmethoden innerer Krankheiten*.

Literatura francuska. *Chassietis, L' instruction* publique chez les grecs, depuis la prise du Constantinople jusqu'à nos jours.

— Challamel. *L'hypotheque judiciare*.

— Faore Jules. *Discours* parlementaires.

— Fournier. *Essai sur l' histoire du droit d'appel*

— Gambetta. *Discours et plaidoyers politiques*.

— Bayles. *Les produits commerciaux et industriels*.

— Bouché-Leclercq. *Histoire de la divination dans l'antiquité*.

— Rocquain. *La papauté au moyen âge*.

— Thiers. *Discours parlementaires* publiés par Calmon.

— Van Beneden. Description des ossements fossiles des environs *d'Anvers*.

— Lecomte. *Le Darwinisme* et l'expressions des emotions chez l'homme et chez les animeaux.

— Abadie. Leçons de *clinique ophtal mologique*.

— *Nouveau dictionnaire de médecine* et de chirurgie pratiques.

— Lanessau. Manuel de *l'histoire naturelle medical*.

— Luys. Traité clinique des *maladies mentales*.

— Voillunier. Traité des *maladies des voies urinaires*.

— Vovard. *De la grippe, sa pathogénie*.

Literatura angielska. *Bell, Anold educational reformer* dr. Andrew Bell.

— Burke. *Letters, Speeches, aud Tracts on irisch affairs*.

— Routh. *The law ofartistie Copyrigth*.

— *A Police Code* and Manual of criminal Law.

— Fitzgerald. *Australian Orchids*.

— Haslam. *Conic Sections* treated geometrically.

— Judd. *Volcanoes*, what theyare, and what they teach.

— Balfour. Treatise of comparative *Embryology*.

— Holmes. *A Guide to the Use of the Laryngoscope in general Practice*.

— Maclagau. *Rheumatism*, its nature, its pathology, aud its sucessfull treatment.

— Purcell. *On caucer, its allies aud otber tumours*.

Literatura włoska. *Barbieri, La pedagogia educativa esposta in venti lezioni*.

— Ferri. *I nuovi orizonti del diritto e della procedura penale*.

— Fornari. *Della communioni dei beni*.

— Grassi. *Le finanze dei conumi*.

— Palma. *Corso di diritto constituzionale*.

— Rossignoli. *L' Italia avvenire* studiata nella generatione presente.

— Schniattavella. *Propedentica al diritto internationale*.

— Cesati. Compendio della *Flora italiana*.

— Rubini. Complemento al *calcolo infinitesimale*.

— Fiordelisi. Proutuario popolare di *igiene e malattie*.

Literatura rosyjska. Bakunin. Zapozdałyj gołos sorokowych godow: *Po powodu żenskago woprosa*.

— Szczerbin. *Oczerki jużnoruskick artelej* i obszczinno-artelnych form.

Sztuki piękne. Na wystawę obrazów p. Krywulta przybyły dwa dzieła naszych znakomitych malarzy: Matejki „Nieszczęśliwe zaloty Olbrachta" i Siemiradzkiego „Na Caprei za Tyberyusza."

Teatr. Po raz pierwszy wystawiono w Warszawie w Alhambrze farsę niemiecką zlokalizowaną p. t. *Jak się śmieją i jak płaczą w Warszawie*.

Nekrologia. W Petersburgu zmarł Aleksander Ridiger apostoł spirytyzmu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. W. w Warszawie. Rubryka *Liberum veto* będzie dalej prowadzoną, pozwólcie tylko jej autorowi wypłakać się prywatnie, ażeby łzy jego nie przesiąkały w papier publiczny.

Stałej prenumeratorce. Wykazów statystycznych z czasów Kazimierza W. nie znamy, odpowiedź przeto na pytanie Pani jest trudną. Ani Büsching, ani *Starożytna Polska* Balińskiego cyfr nie podają.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Сентября. 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.